

Anna Sobieszcząńska-Lissowska

Grodzisk

– miasto mojego życia



Książkę tę dedykuję Panu Grzegorzowi Benedyksińskiemu, Burmistrzowi Grodziska Mazowieckiego, jako wyraz wdzięczności za uczynienie naszego miasta przyjaznym dla nas mieszkańców.

Z miasta zaniechanego i nudnego, w którym nie liczyły się potrzeby mieszkańców, Grodzisk stał się pięknym miastem pełnym zieleni i kwiatów, nowej infrastruktury drogowej, nowych sieci wodociągowych i kanalizacyjnych, z obiektami sportowymi i rekreacyjnymi, z dostępem do szeroko pojmowanej kultury i z dobrą komunikacją miejską.

Możemy więc być dumni, że nasze miasto osiągnęło już poziom europejski.

Anna Sobieszczęńska-Lissowska

Grodzisk – miasto mojego życia
Anna Sobieszczęńska-Lissowska

Opracowanie
Barbara Szulc

Przypisy: Łukasz Nowacki

Projekt i przygotowanie do druku:
Studio Graficzne Ling Brett

Druk: Printing House

Nakład 500 egz.

Wydawca
Urząd Miejski w Grodzisku Mazowieckim
ul. T. Kościuszki 32a
05-825 Grodzisk Mazowiecki
Tel. +48 22 755 55 34
fax +48 22 755 53 27
e-mail: urzad@grodzisk.pl
www.grodzisk.pl



Grodzisk Mazowiecki 2016

ISBN 978-83-64209-03-01

Anna Sobieszczęńska-Lissowska

Grodzisk
– miasto mojego życia

Od autorki

Skąd pomysł na książkę?

W lutym 2014 roku poznałam Panią Bernadettę Stanisławek. Rozmawiając ze mną o sprawach z odległej przeszłości uznała, że powinnam nagrać wspomnienia. Byłam zaskoczona tą propozycją i nie widziałam możliwości jej wykonania. Uległam jednak jej namowom, ponieważ obiecała mi, że sama zajmie się realizacją tego pomysłu.

W trzech sesjach nagrałyśmy 6 godzin moich wspomnień pod tytułem „Grodzisk – miasto mojego życia”.

Poszukując sponsora, pani Bernadetta złożyła w Urzędzie Miasta Grodziska Mazowieckiego to nagranie w formie prezentu. Chodziło tylko o montaż i oprawę graficzną. Okazało się, że w montażu filmu będzie wykorzystane tylko 25 minut tego nagrania. Wtedy wpadłam na pomysł, aby wykorzystać całość nagrania i wydać to w formie książkowej.

Jako osoba niedowidząca nie mogłam się podjąć tego zadania sama. Przypomniałam sobie Panią Basię Szulc, osobę inteligentną, ciepłą, delikatną, ale znajomość nasza nie była bliska. Nie spotkałam się z odmową w tym przedsięwzięciu. Pracowałyśmy wiele godzin, ja opowiadałam a Pani Basia pisała tekst.

I tak Pani Basia stała się współautorką mojej książki, którą napisałyśmy w ciągu siedmiu tygodni. Gdyby nie jej pomoc moje wspomnienia w formie książkowej nigdy by nie powstały.



*Anna Sobieszkańska-Lissowska
Grodzisk Mazowiecki 2016 r.*

Podziękowania

- Mojemu synowi Krzysztofowi i jego żonie Bożenie, za trud kilkukrotnego przepisywania na komputerze tekstu moich wspomnień oraz ich drukowanie
- Mojemu synowi Andrzejowi za pomoc i wsparcie mnie w chwilach słabości i zniechęcenia do dalszej pracy
- Moim wnuczkom Kindze i Paulinie za pomoc w opracowaniu dokumentacji fotograficznej
- Pani Anecie Caban, Naczelnikowi Wydziału Promocji Urzędu Miejskiego za profesjonalizm i bardzo życzliwe zajęcie się moją sprawą
- Recenzentom: Pani Bernadecie Stanisławek, mojemu synowi Andrzejowi, Pani Alicji Dembowskiej, Pani Emilii Młodyszewskiej i Panu Łukaszowi Nowackiemu – za wniesione uwagi.

WSTĘP

Urodziłam się 11 listopada 1922 r. w Sobolewie, małej miejscowości położonej w okolicach Dębina. Moi rodzice Bohdan Sobieszczański i Anastazja z domu Piotun-Noyszewska byli pracownikami na stacji kolejowej w Sobolewie. Mój ojciec w niedługim czasie po moim urodzeniu został przeniesiony na stanowisko zawiadowcy stacji w Rudzie Talubskiej.

Moja mama po wyjściu za mąż straciła pracę, bo miejsca pracy zwalniane przez kobiety wychodzące za mąż były przeznaczane dla mężczyzn.

Po około trzech latach tatę ponownie przeniesiono, tym razem do Sierpca, na stanowisko zawiadowcy stacji.



Tata Bohdan Sobieszczański i mama Anastazja Piotun-Noyszewska

Z okresu poprzedzającego wyjazd do Sierpca zapamiętałam jedynie, że moja mama wiązała mi kokardę większą niż moja głowa, co zwracało uwagę wszystkich napotykanych osób.

Drugim wydarzeniem, które zapamiętałam, była nasza podróż pociągiem do Warszawy. Podróżowaliśmy w przedziale, w którym współpasażerami byli oficerowie-lotnicy z Dębina. W przedziale było nudno i nikt się mną nie zajmował. Mama patrzyła w okno, panowie rozmawiali między sobą. Zaczęłam się wtedy krzywić i trzymać za brzuch. Mama zapytała



mnie, czy boli mnie brzuszek? Odpowiedziałam jej, że boli mnie macica. Zrobiło się dziwnie cicho. Mama była czerwona jak piwonia, aż po czubki włosów. Panowie śmiali się i śmiali, i nie mogli się uspokoić.

Tymczasem mama odzyskała równowagę, jej rumieńce zbladły. Zaczęła się rozmowa. Mama mówiła, że sąsiadka skarżyła się na swoje dolegliwości, a córka, czyli ja, była w drugim pokoju. Panowie mówili, że z dziećmi nigdy nic nie wiadomo, niby ich nie ma, a są i potrafią wystąpić z tym, co spostrzegły, w najmniej oczekiwanym momencie.

Byłam zadowolona, bo w przedziale zrobiło się przyjemnie. Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że tak właśnie było. Pociąg wjechał na dworzec w Warszawie. Oficerowie pomogli mi wyjść z wagonu i kolejno podawali mi rękę na pożegnanie. Byłam zachwycona. I tak mała dziewczynka, która zawsze była tam, gdzie być nie powinna, słyszała to, co nie było przeznaczone dla jej uszu, mówiła to, czego mówić nie powinna, odniosła swój pierwszy towarzyski sukces.

Przeniesienie służbowe do Sierpca rodzice przyjęli z radością, ponieważ wiązało się to z otrzymaniem większego uposażenia. Ponadto pracownicy stacji otrzymywali działki gruntu, które dzierżawione były przez okolicznych rolników, a opłata za dzierżawę wypłacana – wprawdzie w naturze – dawała znaczące korzyści. Dodatkowo z uwagi na sprzyjające warunki mama zdecydowała się na hodowlę drobiu i dwóch prosiaków, co również miało pozytywny wpływ na ogólny dochód.

W Sierpcu rozpoczęłam swoją edukację. Początkowo uczęszczałam na prywatne lekcje, a następnie w wieku 7 lat poszłam do wstępnej klasy gimnazjum. Oceny uzyskiwałam marne, bowiem byłam źle przygotowana na prywatnych lekcjach.

Kiedy już mieszkaliśmy w Sierpcu i nasze dochody się polepszyły, mama mogła sobie pozwolić na zwiększenie wydatków na stroje dla swoich córek. Zapamiętałam, że miałyśmy razem z siostrą zawsze jednakowe jesienecz-



Przed naszym wyjazdem do Sierpca na świat przyszła moja siostra Maria Weronika nazywana przez nas „Dzidzia”.

ki w kolorze poziomkowym, do tego czarne kapelusiki, buciki lakierki w kolorze czarnym i białe pończoszki. Zimą zaś ubrane byliśmy w zielone paltka wykończone popielatym futerkiem, do tego ciepłe czapeczki, rajtuzy i ciepłe botki.

Wydarzeniem szkolnym z tego okresu, które szczególnie utkwilo mi w pamięci, a mogło przynieść wielkie kłopoty dla mojej rodziny, była następująca sytuacja. Przełożona naszej szkoły powiedziała, że Naczelnik Państwa Józef Piłsudski przebywa poza granicami kraju na urlopie i byłoby dobrze, gdyby dzieci wysłały mu pozdrowienia. I wtedy ja wyrwałam się z propozycją wierszyka: „Co to za zwierzę, siedzi na Maderze, orzeszki chrupie i drapie się po ... głowie”. Kiedy skończyłam recytację, to wielce zaniepokoił mnie wygląd nauczycielki, która poprosiła mnie o dzienniczek i nakazała następnego dnia przyjść z mamą. Na szczęście na tym się skończyło, a mogło być gorzej, bo tata pracował na państwowej posiadzie. Nie zdałam sobie sprawy, że wierszyk jest obraźliwy, bo Marszałek miał także wrogów.

Poza drobnymi przykrościami czas spędzony w Sierpcu można uznać za szczęśliwy dla naszej rodziny.

Z rzeczy niemiłych z okresu pobytu w Sierpcu zapamiętałam burzę atmosferyczną i pewnie nie zapomnę jej do końca życia.

Były wielkie upały i przez cały miesiąc nie spadła kropla deszczu. Wreszcie nadeszła wielka burza ze straszną ulewą. Siedzialiśmy w pokoju wraz z mamą i siostrą oraz naszą służącą. Lało tak, że woda zaczęła wdzierać się do wnętrza i mama kazała mi podstawić miskę pod okno. Jak już doszłam do okna, rozległ się straszliwy huk i dom zatrzęsł się w posadach. Za chwilę do mieszkania wbiegł ogromnie wystraszony tata, któremu pracownik krzyknął, że do naszego mieszkania wpadł piorun, bo zobaczył on iskrę przesuwającą się po antenie radiowej w kierunku naszego domu. Długo jeszcze nie mogliśmy ochłonąć, a następnego dnia okazało się, że zniszczeniu uległo radio, które stało na szafce nocnej, a na ścianie za niklowanymi łózkami rodziców widoczny był długi, fioletowy zygzak prowadzący od otworu w ścianie do kuchni sąsiadów, zrobiony przez przemieszczający się piorun. Część pioruna wydostała się z paleniska w kuchni w postaci ognia, a główna jego siła wydobyła się na zewnątrz, niszcząc połowę komina. Według oceny sąsiadów był to tak zwany piorun kulisty. Strach nawet myśleć, co by było, gdyby ta burza miała miejsce w nocy w czasie snu rodziców.





Tata z pracownikami na dworcu kolejowym w Grodzisku Mazowieckim (po 1936 r.)





LATA 30.

Przyjazd do Grodziska Mazowieckiego

Do Grodziska Mazowieckiego przyjechaliśmy wiosną 1930 roku razem z mamą, siostrą i nianią. Tata pracował w Grodzisku już od 1929 roku, ale przez 8 miesięcy byliśmy rozłączeni, ponieważ poprzednik taty na stanowisku zawiadowcy stacji nie zwolnił mieszkania służbowego. Nie wiadomo, jak długo trwałaby nasza rozłąka, gdyby nie interwencja mamy w Dyrekcji Kolei w Warszawie, uświadamiająca dyrektorowi brak jej zgody na rozbijanie rodziny w wyniku rozłąki.

Po przyjeździe tata zabrał nas na zwiedzanie dworca i częściowo miasta. Dworzec wydawał mi się pałacem w porównaniu z wcześniej znanymi budynkami stacyjnymi. Budynek dworca składał się z trzech dużych sal. W jednej mieścił się bufet, w drugiej, środkowej sali znajdowały się kasy biletowe, a w trzeciej była przechowalnia bagażu. W budynku dworca znajdowały się jeszcze dwie toalety, gdyż budynek ten posiadał kanalizację sanitarną, co na owe czasy było luksusem. W sali głównej przy wyjściu na perony siedział biletter, który sprawdzał bilety uprawniające do podróży lub „peronówki” dla osób odprowadzających lub oczekujących. Na peronach nie mógł przebywać nikt bez odpowiedniego biletu. Część budynku dworca kolejowego zajmowała weranda wyposażona w stoły i krzesła, ozdobiona kwiatami, która była przeznaczona dla podróżnych jako poczekalnia.

Mieszkaliśmy w budynku parterowym znajdującym się w pobliżu dworca po jego wschodniej stronie. Część budynku przeznaczona była na przychodnię lekarską i mieszkanie dla dyżurnego ruchu. Drugi budynek po przeciwnej stronie torów kolejowych przeznaczony był na biuro i mieszkanie dla zawiadowcy, który zajmował się naprawą torów kolejowych. Po wyjściu z budynku dworca kolejowego w kierunku miasta znajdował się rów o głębokości ok. 3 metrów, którym płynęły ścieki. Rów ten



przebiegał przez część ogrodu przylegającego do budynku, gdzie mieszkaliśmy. Takie usytuowanie musiało wzbudzać niepokój z uwagi na bezpieczeństwo bawiących się w ogrodzie dzieci. Moją dziecięcą ciekawość wzbudzało to, iż dworzec w zasadzie dzielił miasto na dwie części z uwagi na to, że w poprzednich miejscach zamieszkania stacje były usytuowane poza miastami, a nie w środku.

Głównymi ulicami miasta były ul. Błońska, ul. Kościuszki, ul. Kilińskiego oraz ul. Sienkiewicza. Ulica Błońska (obecnie ulica 11 Listopada) biegła od dworca kolejowego do placu obecnie nazywanego Placem Wolności. Na placu tym znajdowało się targowisko czynne raz w tygodniu w piątki, a raz w miesiącu, też w piątek, odbywał się jarmark. Po drugiej stronie placu znajdował się kościół pod wezwaniem św. Anny. Przed kościołem na placu ustawione były jatki, w których Żydzi sprzedawali mięso koszerne, a Polacy sprzedawali swoje mięso.

Spółeczność miasta

Mieszkańcami Grodziska Mazowieckiego byli Polacy i Żydzi, którzy stanowili około 20 procent liczby mieszkańców miasta^{*}. Stosunki między tymi nacjami były obojętne i nie było żadnych incydentów. Żydzi nie chcieli się asymilować i żyli we własnym

^{*} wg danych z 1936 r. dot. liczby i składu społecznego mieszkańców w Grodzisku Maz. mieszkały wówczas 17.622 osoby, w tym 3.598 Żydów (ok. 20%).

getcie. Mieli własny cheder*, własną mykwę**, własną synagogę i własną gminę. Podobno płacili niższe podatki niż Polacy. Myślę, że stąd się wzięła wśród ludności polskiej niechęć do Żydów, a jednocześnie dążenie do rywalizacji. Rozpoczęła się ona od handlu. Przykładem może być tu syndykat umiejscowiony przy ul. Sienkiewicza róg ul. Kilińskiego, w którym sprzedawano i skupowano płody rolne, drewno i sprzęt rolniczy, oraz pierwszy sklep spożywczy otwarty przez PSS „Społem”, położony na rogu (skrzyżowaniu) przy ul. Kościuszki róg ul. Kolejowej, obecnie 1 Maja.

Jak dziwne były zwyczaje tych ludzi świadczy wydarzenie, może niewielkiej wagi, ale charakterystyczne. W naszej klasie była jedna Żydówka, Rózia Neuhaus, która zawsze stała w oddaleniu od koleżanek. Na pauzach często zagadywałam do Rózi, aby ją ośmielić i wciągnąć do naszego towarzystwa. Byłam zakłopotana, kiedy patrzyłam, jak w czasie długiej przerwy łapczywie zjada swoje śniadanie owinięte w białe papiery tak szczelnie, że nie można było dojrzeć co zawiera opakowanie.

Kiedy piszę o Rózi, mam przed oczami dziewczynkę średniego wzrostu, w czarnym fartuszkach z białym kołnierzykiem, z czerwoną twarzą, pokrytą pajęczkami, z wiszącą kapką u nosa, o małych sinych dłoniach.

Słyszę jej zawsze zachrypnięty głos. Mówiła poprawną polszczyzną, ale z nieznośnym akcentem, powodującym, że prawie po każdym słowie jest znak zapytania.

Pewnego dnia Rózia zaprosiła mnie i dwie inne koleżanki, które także próbowały nawiązać z nią kontakt, do swojego domu.

Nie miałam wielkiej ochoty na tę wizytę, ale mama powiedziała mi, że nie należy nikogo lekceważyć, a tak byłaby odebrana nasza odmowa.

Podobnego zdania byli prawdopodobnie rodzice moich koleżanek, bo umówionego dnia, o właściwej porze, zjawiłyśmy się pod księgarnią jej ojca, gdzie czekała na nas Rózia.

W księgarni był jej tata, który nie powiedział do nas ani słowa, chociaż ukłoniłyśmy się grzecznie, tylko wskazał na ukryte w ścianie drzwi. Znajdowały się za nimi spiralne schody, którymi przeszłyśmy w ciemności i zimnie do pokoju na piętrze. Rózia przeprowadziła nas przez kilka pokoi, porządnie umeblowanych, ale bardzo zimnych, do kuchni, w której z kwaśną miną przy zimnej płycie kuchennej siedziała dziewczyna w naszym mniej więcej wieku opatulona w swetry i serdak. Obawiała się zapewne, że jak wstanie, ogarnie ją wszechobecny w całym mieszkaniu chłód, podczas gdy za oknem był przełom września i października i było dość ciepło. Jak musiało tu być zimą, kiedy panowały ostre mrozy? Zamiast podziwiać zamożność rodziny Rózi, bo taki był chyba cel zaproszenia nas do jej domu, zaczęłyśmy jej współczuć, że jej bogaci rodzice tak oszczędzają na opale nie widząc, że ich córka

* szkoła religijna dla chłopców

** łaźnia



Pocztówka ze zbiorów Ośrodka Kultury Gminy Grodzisk Maz. – Willa Radogoszcz

Dom Rózi, kamienica Neuhausów



cierpi i że gnębi ją chroniczny katar, którego nie jest już w stanie opanować, i chrypka, która będzie jej towarzyszyła przez całe życie. Nagle Rózia otworzyła drzwi na klatkę schodową i czekała, aż opuścimy mieszkanie. Nie pamiętam, czy zdążyliśmy powiedzieć „do widzenia”, kiedy drzwi zostały zamknięte. Schodziłyśmy na parter jak w transie, zaskoczone tym co nas spotkało. Mama na mój widok wyraziła zdziwienie, że wizyta tak krótko trwała, a ja powiedziałam żydowskim zwyczajem „wizyta? – jak wizyta”, a po wysłuchaniu mojego sprawozdania zbagatelizowała całe to wydarzenie mówiąc: „widać takie są u nich obyczaje”.

Ówczesny Grodzisk był miastem uprzemysłowionym. Na jego terenie działały takie zakłady jak Octówka, Fabryka Tarcz Ściernych, Fabryka Węży Pożarniczych, Garbarnia, Fabryka Grzejników, Wytwórnia Aparatów Elektrycznych „Bemar”, Centrala odbiorcza o zasięgu transatlantyckim mieszcząca się w budynku radiostacji, PKP i EKD.

Ponadto w mieście istniały urzędy państwowe i samorządowe: Magistrat, Starostwo, Urząd Gminy, Urząd Skarbowy oraz Bank KKO.

Szkoła

Najważniejsze miejsce w moich wspomnieniach zajmuje szkoła. Moja mama napotkała trudności przy zapisywaniu mnie do szkoły ze względu na to, że brakowało mi trzech lat do zapisu do pierwszej klasy. Ponieważ szkoła była prywatna, to w końcu trudności udało się przezwyciężyć i zapisać do tej klasy. Szkoła mieściła się w piętrowym budynku na końcu ul. 3 Maja.

Oprócz tego budynku dodatkowo wynajmowana była niewielka sala zlokalizowana naprzeciwko ul. Szkolnej. Szkoła była na progu likwidacji i nie miała praw do organizacji matur, dlatego było w niej mało uczniów, np. w mojej klasie było pięcioro uczniów. Po kilku miesiącach nastąpiło pożegnanie dyrektora szkoły, a nauczyciel matematyki, pan Witold Westfal zorganizował nową szkołę w tych samych pomieszczeniach.

Z pożegnaniem dyrektora, które odbyło się w sali wynajmowanej naprzeciwko ul. Szkolnej, wiąże się dość zabawne wspomnienie. Na pożegnaniu byli nauczyciele i garstka uczniów, a po przemówieniu dyrektora zaśpiewaliśmy piosenkę „Jak szybko mija życie”, która tak mnie rozrzewniła, że do domu wróciłam spłakana. Przeżona mama zapytała mnie, co się stało, a kiedy odpowiedziałam, że właśnie pożegnałam dyrektora, wtedy mama spytała, czy ja kiedykolwiek dyrektora widziałam, że po nim płaczę, więc ja odpowiedziałam, że właśnie dziś był ten pierwszy raz.

Nowa szkoła została dość szybko zorganizowana, choć warunki były bardzo trudne. Budynek był ciasny i słabo ogrzewany. Pamiętam lekcje matematyki prowadzone przez pana Westfala, który był bardzo dobrym matematykiem, zbyt dobrym dla małych dzieci, takich jak ja. Ciągłe coś pisał na tablicy, a ja ciągle myślałam „Boże, ja nic nie rozumiem, jest mi bardzo zimno, a on ciągle



coś pisze na tablicy i kiedy wreszcie skończy”. Po kilku miesiącach dyrektor Westfal rozpoczął starania o budowę nowego budynku szkolnego.

Powstał nowy budynek. Na parterze były trzy duże klasy i sala gimnastyczna, a na piętrze były cztery duże klasy i pokój nauczycielski. Wszelkie akademie szkolne odbywały się na parterze budynku. W nowym budynku rozpoczęła działalność szkoła na innych zasadach polegających na wprowadzeniu 4-letniego gimnazjum i 2-letniego liceum. Szkoła uzyskała pełne prawa, a poziom nauczania był wysoki. Zaczęli do nas przyjeżdżać uczniowie z sąsiednich okolic, a opłata była wysoka: 45 zł za gimnazjum i 60 zł za liceum. To było bardzo dużo.

Nauczyciele byli przyjaźni dla uczniów i bardzo dobrze układały się stosunki z rodzicami. Komitet rodzicielski współpracował z dyrekcją szkoły, pomagał finansowo organizując dwa razy w roku bale, które odbywały się w sali banku KKO, za zaproszeniami. Rodzice organizowali bufet, przynosili do niego przygotowane przez siebie potrawy i dyżurowali w nim przez całą noc.

Mieliśmy także wykupione karnety na przedstawienia teatralne w Warszawie. W czasie mojej nauki w szkole obejrzałam 60 spektakli, w których występowali najwięksi aktorzy scen polskich. Po każdym spektaklu pisaliśmy recenzje. Zwiedzaliśmy też muzea, wystawy malarskie m.in. wystawę impresjonistów francuskich.

Zbudowano też strzelnicę, na której uczyliśmy się strzelać. Na otwarciu strzelnicy witałam pułkownika Wojska Polskiego, a koleżanka Iza Grabowska wręczała mu kwiaty*.



* otwarcie strzelnicy małokalibrowej odbyło się 12.11.1933 r.



Powitanie delegacji Wojska Polskiego z okazji otwarcia strzelnicy



Nauczyciel gimnastyki, pan Hipolit Szczerkowski wspólnie z nauczycielką szkoły podstawowej, której nazwiska nie pamiętam, przygotowywali przedstawienia poprowadzone licznymi próbami. Przy tych przedstawieniach czynny udział brały nasze mamy, które szyły kostiumy. Wystawiane przez młodzież przedstawienia integrowały znaczną część społeczności Grodziska. Nie należy więc się dziwić, że nasza szkoła wydała takie talenty jak m.in. Leonid Teliga, znana śpiewaczka Bożena Brun-Barańska oraz neurochirurg Żarski*, a na grodziskim gruncie Adela Jarkiewicz-Obłękowska, nauczycielka Liceum Pedagogicznego.

Nie pamiętam, czy było to w pierwszej, czy drugiej klasie gimnazjum, kiedy nasza wychowawczyni i nauczycielka języka polskiego zadała nam do nauczenia się na pamięć poematu „Maraton” Kornela Ujejskiego. Ten poemat tak mnie zachwyił, że bardzo starannie przygotowałam się do jego deklamacji. W czasie lekcji zostałam wywołana do recytacji tego utworu. Recytacja zajęła mi prawie godzinę lekcyjną, nie zająknęłam się ani razu i otrzymałam za to piątkę. Od tego czasu na wszelkich akademiach recytowałam różną poezję.

Nasi nauczyciele dbali o nasz wszechstronny rozwój, bo poza nauką i sportem organizowali dla nas wycieczki m.in. do Wilna, Trok, Krakowa, Ojcowa czy Wieliczki.

Wycieczka szkolna do Wilna wprowadziła w moje życie duże zamieszanie. Zdarzyło się bowiem coś, co zakłóciło na wiele miesięcy moje uregulowane, spokojne, bezproblemowe dotychczas życie.

W wycieczkach tych opiekę nad uczniami sprawowali wychowawcy klas uczniów wyjeżdżających oraz ktoś z komitetu rodzicielskiego (tym razem była to moja mama). Podczas takich szkolnych wyjazdów dostawaliśmy trzy lub cztery godziny czasu na samodzielne wyjście do sklepów pamiątkarskich, bowiem każdy z nas chciał dla siebie i swoich bliskich kupić przedmioty charakterystyczne dla zwiedzanych miejsc.

Wracałam z tych zakupów razem z koleżankami przez duży park zlokalizowany w samym centrum Wilna, który się nazywał „Cieletnik”. Nazwa ta wydała się nam dziwaczna, ale park był piękny, więc usiadłyśmy na chwilę na ławeczce, żeby go podziwiać.

Nagle podszedł do nas młody mężczyzna, który elegancko przedstawił się nam i chyba zapytał, czy może nam towarzyszyć. Byłyśmy speszone, bo w tamtych jakże odległych od dzisiejszych zachowań czasach, rozmowa z obcym mężczyzną była naganna, nawet dla dorosłych kobiet, a co dopiero dla uczennic. Ale ponieważ był taki przystojny i się nam przedstawił, uznałyśmy go za znajomego i zgodziłyśmy się na wspólny powrót do naszego hoteliku.

* prawd. prof. Stefan Żarski



Wycieczka szkolna do Wilna, Rossa – grób Lelewela





Na jeziorze w Trokach

Pan Stanisław Frąckowiak zwracał się głównie do mnie, więc moje koleżanki odsunęły się i przy pożegnaniu zapytał mnie, czy moglibyśmy się spotkać.

– To niemożliwe – powiedziałam. – Jestem tu w zorganizowanej grupie – zawsze jesteśmy pod opieką wychowawców. Ale zaraz, jutro moi koledzy rozgrywają po południu mecz siatkówki z drużyną gimnazjum im. Adama Mickiewicza, na boisku w ich szkole. Moje koleżanki i ja będziemy na tym meczu.

Na drugi dzień zwiedzaliśmy jeszcze cmentarz „Na Rossie”. Ale mnie pochłaniały myśli: przyjdzie... nie przyjdzie.

Przyszedł, usiadłam na poręczy niskiego ogrodzenia, on stał obok. Nie interesował nas mecz. Cały czas rozmawialiśmy. Nie byłam przecież prowincjonalną gęsią tylko dziewczyną z dobrego domu, uczennicą wspaniałej szkoły – opowiadałam mu o tym, co zobaczyłam na wycieczce, że zwiedzaliśmy nie tylko Wilno, że byliśmy także w Trokach, że pojechaliśmy statkiem poza Wilno do zespołu pałacowego (nie pamiętam czyją był własnością) – bardzo chwalił program tej wycieczki.

Opowiadaliśmy także o sobie: on, że urodził się w Poznaniu i tam mieszka, w Wilnie przebywa od niedawna i za parę dni, jak zakończy swoje zadanie, które miał wykonać, wraca do Poznania. Ja także opowiadałam o sobie, mojej rodzinie, że mieszkam w Grodzisku Mazowieckim niedaleko Warszawy, że lubię swoje miasto, choć nie grzeszy urodą.

– Jeżeli się nam tak dobrze rozmawia, to może równie dobrze będzie się pisało listy do siebie – zaproponował. No i wymieniliśmy adresy.

W czasie tej rozmowy jedno mnie zaniepokoiło, jego ubiór. Miał na sobie mundur oficerski, bez żadnych dystynkcji, na nogach oficerskie buty i nie miał czapki.

Przy pożegnaniu zapowiedział, że będzie przed 10.00 na Dworcu Wileńskim, skąd mieliśmy odjeżdżać do Warszawy. Usłyszała tę zapowiedź jedna z moich koleżanek, zazdrośnica: „ale to bajerant, chyba nie wierzysz w to, że o 10.00 godzinie będzie leciał na dworzec, żeby ci pomachać ręką, może jeszcze z kwiatami”.

Kiedy przyszliśmy na dworzec nie było go. Zazdrośnica patrzyła na mnie z triumfem. Ale radość jej trwała krótko, bo nagle zjawił się przed nami z kwiatami w ręku.

Byłam cała w skowronkach. Pożegnanie było oficjalne, ale serdeczne. Weszłam do wagonu, stanęłam przy otwartym oknie, jeszcze kilka słów i pociąg ruszył. Miejsce miałam przy oknie, okryłam się zasłoną okienną i marzyłam, marzyłam do samej Warszawy. Chyba byłam zakochana w człowieku, o którym nic pewnego nie wiedziałam.

Do Grodziska przyjechalśmy pociągiem podmiejskim. Ponieważ widziałam, że na dworcu w Wilnie mama patrzy w naszą stronę ze zdziwieniem i dezaprobatą, odważyłam się rozpocząć rozmowę na ten temat i poinformować ją o tej znajomości.

Nie mogłam uczynić tego wcześniej, bo mama w Wilnie nocowała u znajomych, z którymi spędzała dużo czasu.



– Czy powiedziałaś temu panu, że nie masz 15 lat? – zapytała.

– Nie – odpowiedziałam.

– No właśnie, a to przede wszystkim należało zrobić. Przed tobą matura i studia, a więc lata ciężkiej pracy. Nie wiedziałam, że moja córka jest osobą nieodpowiedzialną. Jak można zawierać znajomość na ulicy nie wiadomo z kim. To, że się przedstawił, nic nie znaczy, bo i tak nic o nim nie wiesz. Niepokoi mnie jego ubiór. Kim on właściwie jest? Na „amory” przyjdzie czas, jak skończysz studia.

Więcej na ten temat nie było rozmowy.

Ale ja czekałam na list, który nie nadchodził. Byłam rozczarowana, upokorzona, nieszczęśliwa. Zaniedbałam naukę, na lekcjach rozmyślałam ciągle

o tym upokorzeniu, jakie mnie spotkało, wezwana do tablicy byłam tak zamysłona, że nie wiedziałam, o co mnie pytają. Mijały tygodnie, miesiące, a ja trwałam w otępieniu. W końcu jednak moja urażona duma spowodowała, że wzięłam się w garść. Zaczęłam się uczyć, nadrabiać zaległości i brać udział w lekcjach. Zaczęłam zapominać o tym, co mnie spotkało.

I tak jakoś koło Bożego Narodzenia szukałam jakiejś pastorałki – wiedziałam, że znajdę ją w kantyczce, która była przechowywana w szufladzie w szafie. Poszłam więc do sypialni, otworzyłam szafę, wyciągnęłam szufladę i obok kantyczki zobaczyłam koperty zaadresowane na moje nazwisko. Złapałam je, pobiegłam do mojego pokoju i zaczęłam czytać. Serce waliło mi i szumiało w głowie.

Po skończeniu poszłam do mamy i pokazując korespondencję zapytałam co to znaczy. Zarzuciłam mamę wymówkami, może niezupełnie sprawiedliwymi. Mama usiłowała się tłumaczyć, ale powiedziałam twardo: „tylko nie mów mi, mamusiu, że to dla mojego dobra. Przecież widziałaś, jak to przeżywam i nie drgnęło ci serce, że to za Twoją przyczyną”.

Natychmiast napisałam do niego, wyjaśniając przyczyny mojego milczenia, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Tak się skończyły moje „amory”, które miały taki romantyczny początek.

Po jakimś czasie niania powiedziała mi, że on, zaniepokojony brakiem odpowiedzi na listy przyjechał do Grodziska, ale mnie nie zastał.

Mama przyjęła go grzecznie, ale chłodno. Powiedziała, że skończyłam dopiero 15 lat, że mam przed sobą klasę maturalną, studia, że prosi go, żeby nie pisał do mnie, nie zakłócał mojego spokoju. Jeżeli jesteśmy sobie przeznaczeni, na pewno nasze życiowe drogi jeszcze się spotkają. Ale nie spotkały się. A czas zatarł wszelki ślad. Dziś nie pamiętam nawet jak wyglądał.

Wobec rosnącego zagrożenia ze strony Niemiec, które eskalowały swoje żądania w stosunku do sąsiadów, Rząd Polski podejmował różne zadania mające na celu przygotowanie społeczeństwa do ewentualnej wojny. Między innymi powstała organizacja „Przysposobienie kobiet do obrony kraju”. Szkolono harcerki i uczennice klas licealnych. W 1938 roku jako uczennica pierwszej klasy liceum zostałam skierowana na zajęcia praktyczne do Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, na Oddział Chirurgiczny.

Odbyłam tę praktykę pod opieką siostry szarytki. Miała ona nadzór nad wielką salą szpitalną, w której, wydaje mi się, że w trzech rzędach mieściło się 30 łóżek rozdzielonych szerokimi przejściami. Na tak ogromną salę przypadała tylko jedna zakonnica, do której obowiązków należała zmiana opatrunków, wykonywanie zastrzyków, podawanie leków, pomiar temperatury ciała i inne zabiegi. Ta ogromna sala pachniała świeżością, była idealnie czysta.

Siostra szarytka wysłała mnie do sali operacyjnej, żebym oswoiła się z widokiem krwi. Poszłam więc na I piętro, weszłam do pomieszczenia, w którym lekarze myli



Klasa przed szkołą w okresie praktyk szpitalnych

ręce. Drzwi na korytarz były uchylone. Siostra szarytka wcześniej powiedziała mi, że lekarze przed operacją myją ręce do łokci przez 15 minut oraz obcinają paznokcie bardzo krótko.

Weszłam do drugiego pokoju, w którym była sala operacyjna. Drzwi były szeroko otwarte. Przy stole operacyjnym było dwóch lekarzy w białych fartuchach, którzy operowali bez rękawiczek, a po narzędzia chirurgiczne sięgali sami. Wszędzie pachniało chloroformem. Mimo takich warunków nie zdarzały się powikłania lub pomyłki takie jak wycięcie zdrowej nerki.

Siostry zakonne nie odchodziły od łóżek pacjentów, mimo że były bardzo obciążone pracą.

Mimo ogromnego postępu w medycynie, zarówno technicznego jak i farmakologicznego, którego lekarze przedwojenni nie mogli sobie wyobrazić, to zadowolenie pacjentów wypada z korzyścią dla tych, którzy pracowali w spartańskich warunkach przedwojennych.

W klasie maturalnej nie mieliśmy studniówki, bo umarł papież, nie pamiętam który w kolejności*. W kraju była żałoba narodowa. Zrobiliśmy sobie w Milanów-

* Papież Pius XI zmarł 10 lutego 1939 r.

ku potańcówkę, ale prawdę mówiąc urządziła ją mama Waldka Janiaka. Nie było to oczywiście to samo, co studniówka, ale „jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma”.

Sto dni przed maturą, zgodnie ze zwyczajem, nasze czapki i berety zostały przecięte na krzyż, od brzegu do brzegu. Te części były połączone kolorowymi haftami wykonanymi lasetą. Ponieważ ja miałam dwie „lewe ręce”, mama wyhaftowała mi piękny wzór. Byłam dumna, że miałam taki piękny берет.

Mniej więcej w tym czasie jak inni maturzyści pojechalśmy z księdzem prefektem i wychowawczynią do Częstochowy na Jasną Górę, aby zawierzyć Matce Bożej naszą maturę.

Dzisiaj także utrzymuje się ten zwyczaj w niektórych szkołach. Nasz dyrektor, pan Westfal, chociaż był ewangelikiem, wprowadził w szkole zwyczaj chodzenia do kościoła na niedzielną mszę świętą. Msza święta dla szkoły odprawiana była o godzinie 9.00. Musieliśmy być w szkole na ulicy 3 Maja pół godziny wcześniej i stamtąd parami szliśmy do „Świętej Anny”.

Był z nami dyżurny profesor i zawsze był obecny dyrektor szkoły, pan Westfal. Był on zawsze elegancki, nawet wytworny, stosownie do pogody z laseczką lub parasolem, ale zawsze w kapeluszu. Kiedy szkoła została częściowo przeniesiona do budynku przy ulicy Kilińskiego*, wtedy do kościoła było już niedaleko.

Z mojej szkoły byłam bardzo dumna i tej dumy nie mogę się pozbyć, mimo iż spotkała mnie tam wielka krzywda.

Przed samą maturą przyszedł do mojego taty dyrektor Westfal i powiedział, że ma smutną wiadomość, bo nie zostałam dopuszczona do matury, ponieważ rada pedagogiczna uznała, iż w wieku 16 i pół roku nie jest się jeszcze dojrzałym. Tata mój był bardzo zaskoczony i zapytał dyrektora, z jakich przedmiotów uzyskałam stopnie niedostateczne, gdyż jedna ocena niedostateczna w liceum humanistycznym nie



* budynek dawnego Zakładu Wodoleczniczego, obecnie Szkoła Podstawowa nr 1

powoduje niedopuszczenia do matury. Oprócz oceny niedostatecznej z matematyki dołożono mi ocenę niedostateczną z łaciny, mimo że nigdy tj. ani w gimnazjum, ani też w liceum nie miałam oceny niedostatecznej z tego przedmiotu. Tata oświadczył, że wyrządzono mi wielką krzywdę, zwłaszcza że wojna wisiała na włosku. Wtedy dyrektor odpowiedział tacie: „panie Naczelniku, nie będzie wojny, a w przyszłym roku córka będzie mogła zdawać maturę”. Byłam tak rozżalona, że moja noga nigdy nie stanęła w tej szkole. Przestałam chodzić do szkoły. Ostatecznie egzamin maturalny zdałam w 1943 roku na tajnych kompletach.

Moja rodzina

Moja rodzina składała się z czterech osób, rodzice, ja i moja siostra Maria Weronika czyli Dzia. Do rodziny należała również niania, Helena Lewandowska, traktowana przez nas jak bardzo bliska osoba. Helena przed ślubem mojej mamy była jej służącą, a później została naszą nianią. Pracowała u nas 22 lata.

Sytuacja materialna moich rodziców w Grodzisku bardzo się pogorszyła. Na utrzymanie rodziny musiała wystarczyć tylko pensja mojego taty, ponieważ działka (grunty), która przysługiwała pracownikom stacji nie mogła być wykorzystana ze względu na dużą odległość i brak dzierżawców.

W tej sytuacji mama zapisała się na kurs pszczelarstwa i po jego ukończeniu kupiła trzy ule z pszczołami. Wyprodukowany przez pszczoły miód mama sprzedawała do sklepu kolonialnego przy ul. Błońskiej, obecnie ul. 11 Listopada, a reszta miodu zostawała dla rodziny. W niedługim czasie mama dokupiła jeszcze dwa ule. Dzięki temu nasz budżet rodzinny wzrósł, co pozwoliło na pokrycie kosztów związanych z opłatą za moją szkołę prywatną, na pensję dla niani wynoszącą 30 zł oraz na inne nieprzewidziane wydatki.

Moją siostrę mama zapisała do szkoły podstawowej. Chodziła do szkoły pana Piotra Krupińskiego. Była pilną uczennicą i należała do orkiestry mandolinistów, którą prowadził pan Wieczorkiewicz, o ile dobrze pamiętam. Szkoła kiedyś miała zaproszenie na występ w radio, ale moja siostra ku swojej rozpaczy akurat miała wrzód w gardle i koncertu mogła słuchać tylko przez radio.

Moja siostra była małą „świętą”. Nikt nigdy nie słyszał z jej ust protestu. Nigdy się na nic nie skarżyła, żyła w zgodzie ze swoimi rówieśnikami.

Była bardzo posłuszna. Jeden raz się nie posłuchała, a było to tak:

Rów (ten ze ściekami), o którym wspominałam wcześniej, przebiegał przez nasz ogród. Rodzice tłumaczyli nam i zakazali zbliżać się do tego rowu oraz zabronili jeść jabłka z tych drzew, które rosły w sąsiedztwie tego rowu. Tym zakazom podporządkowałyśmy się obie z siostrą.



Moja siostra Dziazia

W 1936 roku siostra mojego taty przyjechała do nas na dwa tygodnie razem ze swoimi dziećmi, z córką i synem. Chłopak ten był „z piekła rodem”. Mimo, że był uprzedzony przez moich rodziców, czym grozi zabawa nad rowem i jedzenie jabłek z drzew tam rosnących, jakby na przekór bawił się tam, jadł zakazane jabłka i do tego kusił moją siostrę. Ponieważ musiał być bardzo natarczywy, ona uległa jego namowom i zjadła zakazane jabłko. Po dwóch tygodniach wyjechali, a moja siostra ciężko zachorowała. Diagnoza postawiona przez lekarzy brzmiała: tyfus brzuszny. Siostra moja była dzieckiem słabowitym, dlatego choroba okazała się śmiertelna. Śmierć jej była ogromnym ciosem dla mojej rodziny. Pogrzeb mojej siostry zgromadził wszystkich mieszkańców i dzieci szkolne, a u pana Fobe, grodziskiego ogrodnika, zabrakło

kwiatów. Na tym pogrzebie spotkała się nasza rodzina rozproszona po całej Polsce, z którą nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów, z uwagi na duże odległości zamieszkania, z wyjątkiem najmłodszego brata mojego taty Karola Tadeusza, który mieszkał w Milanówku po powrocie z wojska.

Moi dziadkowie ze strony taty Karol i Władysława mieszkali w Fordonie, obecnie jest to dzielnica Bydgoszczy. Z rodziną mojej mamy, która mieszkała w Brwinowie i Warszawie, utrzymywaliśmy częste kontakty. Dziadkowie ze strony mamy już nie żyli. Na początku 1931 roku przyjechał do Grodziska dziadek Karol, który miał nowotwór przewodu pokarmowego, żeby u nas umrzeć. I tak się stało, bowiem dziadek zmarł zaraz po świętach wielkanocnych. Zapamiętałam, kiedy siedział przy stole i nie mógł nic jeść. Nasza niania powiedziała, że to kara za to, iż po ślubie rodziców w Sobolewie kazał sobie podać w Wielki Piątek szynkę i zmusił mojego tatę do wspólnej konsumpcji mimo protestów ze strony mamy i niani.

Moja mama uwielbiała kupować u Żydów, a to dlatego, że można było się tam targować. Sklepów polskich było mało i ceny były stałe. Pewnego dnia mama wybrała się z moją ciotką na zakupy na ul. Żabią w Warszawie, gdzie były sklepy z konfekcją i kapeluszami. W jednym ze sklepów mama wybrała sweter dla taty, który kosztował 20 zł oraz kapelusz dla siebie za 10 zł. Mama powiedziała do sprzedawczynie, że za sweter może zapłacić 12 zł, a za kapelusz 2 zł. Moja ciotka wyszła wtedy ze sklepu, a później ze zdziwieniem zobaczyła, że mama wychodzi z zakupami. Wtedy mama powiedziała, że kupiła, co chciała i za sweter zapłaciła 12 zł a za kapelusz 4 zł.

Kiedy w Polsce powstał Ruch ONR (Obóz Narodowo-Radykalny), moja mama musiała zaprzestać robienia zakupów u Żydów w Warszawie, dla własnego bezpieczeństwa, ponieważ członkowie tej organizacji prześladowali Żydów i tych, którzy u nich kupowali.

W czerwcu 1939 roku zostaliśmy zaskoczeni translokacją taty do innej dystrykcji kolei, do miejscowości Opatówek, również na stanowisko zawiadowcy stacji.

O ile pamiętam, wyjazd mojej rodziny z Grodziska nastąpił na początku lipca. Mieszkanie służbowe było większe i ładniejsze niż w Grodzisku, a stacja kolejowa była oddalona od miasta o około 1,5 km. Po zagospodarowaniu się w nowym miejscu zamieszkania, pojechaliśmy z mamą do Kalisza i udaliśmy się do szkoły prowadzonej przez siostry elżbietanki, aby zapisać mnie do klasy maturalnej. Chyba zrobiłam dobre wrażenie na matce przełożonej, bo zostałam przyjęta a naukę miałam rozpocząć 1 września 1939 roku.

Po miesiącu od naszego przyjazdu zauważyliśmy z przerażeniem, że drogą tuż koło naszego domu, z terenów przygranicznych w głąb kraju zmierzają tłumy uciekinierów, ponieważ niemieckie bojówki, głównie w nocy, napadały na ich domostwa.

Uciekinierzy przemieszczali się na rowerach, furmankach i pieszo wraz ze swoim dobytkiem, który udało się zabrać. Widok ten budził trwogę i przerażenie, że wojna jest nieunikniona.

W sierpniu mama pojechała na trzecią rocznicę śmierci mojej siostry do Grodziska. Podczas nieobecności mamy w domu w Opatówku przeżyłam po raz drugi w życiu potężną burzę, która zaczęła się o godzinie 17.00 a skończyła o 5.00 rano dnia następnego. W trakcie tej burzy tata poszedł z parasolem po mamę, która miała przyjechać pociągiem o 22.00. Mama nie przyjechała, a tata, kiedy wrócił do domu, stwierdził, że czuł na policzkach ciepło od błyskawic.

W moim pokoju okna były szczelnie zamknięte, zasłonięte firankami i zasłonami, a ja siedziałam na łóżku zasłaniając twarz rękami. W pewnym momencie, kiedy poczułam w całym ciele ogromne ciepło, oderwałam ręce od twarzy i w tej chwili zostałam ogłuszona potężnym grzmiotem. Okazało się, że piorun wpadł do naszego domu po antenie, niszcząc aparat radiowy. Po tym przeżyciu przez kilka godzin całe moje ciało dygotało z przerażenia, mimo że obok mnie byli tata i moja niania, którzy nie mogli mnie uspokoić do końca burzy. Było to moje drugie spotkanie z piorunem.

Moi rodzice byli spokojnymi ludźmi, byli życzliwi dla innych, niekonfliktowi, niezłośliwi, nie zajmowali się plotkami i starannie dobierali sobie towarzystwo.

W naszym domu nie było agresji, nie było dochodzenia swoich racji za wszelką cenę, co zawsze prowadzi do kłótni.

W domu nie było nigdy awantur, krzyków czy podniesionych głosów. Możliwe, że rodzice mieli czasem trudne chwile, ale załatwiali takie sprawy dyskretnie. Dom rodzinny był przystanią, w której czułam się bezpiecznie.

Tata miał tylko jedną słabość, którą były walki zapaśnicze.

W Warszawie przy ul. Ordynackiej był cyrk Staniewskich, olbrzymi, kilkupiętrowy, mieścił ponad 2 tysiące ludzi. Programy były podobno imponujące, ciekawe, z udziałem różnych gatunków zwierząt. Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Grodzisku, rodzice zabierali nas na te przedstawienia.

W tym cyrku kilka razy w roku odbywały się walki zapaśnicze, których mój tata nigdy nie opuszczał. Kiedyś na dworcu w Grodzisku zobaczył wysiadającego z pociągu zapaśnika Teodora Sztekera i z nawiązanej rozmowy wynikało, że mieszka on pod Grodziskiem*.

Po kilkunastu latach postać Sztekera pojawiła się znowu przed oczami mojej wyobraźni. Otóż mój mąż, zapalony myśliwy w czasie naszych wspominkowych rozmów zaczął mówić o polowaniach, które szczególnie zapamiętał w towarzystwie pana Sztekera, właściciela majątku Chawłowo, który znajdował się w pobliżu Grodziska. Mąż wspominał go bardzo ciepło – był to człowiek nieprzeciętnej urody, życzliwy, a nade wszystko skromny, mimo że był wówczas dwukrotnym mistrzem świata w zapasach i miał powody do dumy. Mąż mówił, że Sztekker nie mógł korzystać z normalnej broni myśliwskiej, bo nie czuł jej ciężaru. Jego broń miała rękojeść wypełnioną ołowiem. Nie mógł jej swobodnie podnieść żaden myśliwy, a co dopiero postugiwać się nią.

I nagle ten młody, silny, zdrowy człowiek wyjechał na kolejne zawody, w czasie których poczuł się źle i zmarł z niewyjaśnionych przyczyn w wieku 37 lat w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie.



*Przerwa w polowaniu. Od lewej: mąż,
dr Żamecki i mec. Jasiński*



Mąż na polowaniu

* Teodor Sztekker (1897–1934), polski zapaśnik i atleta, pięciokrotny mistrz Polski, mistrz Europy, zwycięzca pierwszej olimpiady zapaśniczej w 1927 r., dwukrotny mistrz świata w zapasach w stylu klasycznym, w 1929 r. nabył majątek Chawłowo w okolicach Grodziska Maz. – dziś w granicach wsi Wężyk w gminie Grodzisk Maz.

Szeroko rozeszły się wieści, że został on otruty przez konkurencję, która nie potrafiła pokonać go w równej walce. Po pewnym czasie przestano o tym mówić i zapadła cisza, i nad nazwiskiem, i nad postacią*. Współcześni dziennikarze zachłystują się nazwiskami międzywojennych sportowców jak Walasiewiczówna, Kusociński i inni, a nigdy nie słyszałam, żeby któryś z nich mówił o Sztekkerze.

Piszę o nim nie tylko dlatego, że był idolem mojego taty, ale z uwagi na jego związki z Grodziskiem, a także ze stacją kolejową. Stąd przecież wyjeżdżał w swoje podróże i tu wracał. Tu pamięć o sportowcu, który rozślawił imię Polski w okresie międzywojennym, żyła w przekazach rodzinnych tych grodziszczan, którzy już odeszli i tych, którzy jeszcze żyją.

Wojna

Pierwszego dnia wojny 1 września 1939 roku tata miał obowiązek otworzyć tajną instrukcję, która zawierała rozkazy na wypadek wybuchu wojny. Z tych rozkazów wynikało, że ma wypłacić sobie i pracownikom pensje za trzy miesiące i zorganizować ewakuację pracowników. Termin ewakuacji wyznaczono na 3 września. Rodziny pracowników nie wyjeżdżały, ale moja mama nie chciała zostać w Opatówku, w obcym sobie środowisku.

Rozpoczęło się pakowanie. Zabieraliśmy materace, pościel, bieliznę stołową i pościelową, ubrania i obuwie. Obrazy były pakowane między pościelą, tak jak porcelana i sztuce. W mieszkaniu pozostały tylko meble i mamy ukochany fortepian. Niania zabiła kurczaki i je upiekła, zrobiła ciasto i pieczywo. Zapakowała słoiki z konfiturami, mleko w proszku, cukier i coś do picia, bo jak twierdziła „od przybytku głowa nie boli”. Wszystkie skrzynie zostały zabite ćwiekami z wyjątkiem skrzyni z jedzeniem. Kiedy wychodziliśmy z mieszkania, niania zabrała swoją ikonę Matki Bożej, a wszyscy popatrzyliśmy ze smutkiem na opustoszałe wnętrza mieszkania, następnie zamknęliśmy mieszkanie, a klucze przekazaliśmy sąsiadce. Pociąg ewakuacyjny z Kalisza przyjechał wcześniej rano, a do niego zostały doczepione nasze otwarte wagony towarowe i ruszyliśmy w drogę. Dzień był przepiękny, niebo bez jednej chmurki, gorąco było od rana. Na niebie widoczne były samoloty lecące bardzo wysoko. Myśleliśmy, że to polskie samoloty, ponieważ przekonywano nas, że jesteśmy „silni, zwarci i gotowi” do odparcia wroga. Na kolejnych stacjach doczepiane były następne wagony. W końcu dotarliśmy do Zduńskiej Woli. Stacja była wyludniona, ponieważ pracownicy zostali ewakuowani. Stacja była ogromna a torów około 30. Na wszystkich torach stały pociągi z ludnością cywilną, niektóre z wojskiem oraz nasz pociąg, który był ostatni na torach przylegających do łąki. Ponieważ maszynista naszego pociągu zawiadomił, iż nieprędko pojedziemy dalej, to powychodziliśmy ze swoich wagonów.

* T. Sztekker zmarł niespodziewanie 7 listopada 1934 r. w Warszawie w wieku 37 lat. Prawdopodobną przyczyną śmierci było zakażenie krwi.

Wtedy podeszła do mnie niania i podała mi swoją ikonę Matki Bożej, mówiąc żebym trzymała ją mocno, gdyż jest to obraz pełen łask. W chwilę potem usłyszeliśmy potężny warkot nadlatujących samolotów. Wszyscy ukryliśmy się pod wagonami. Ja z tatą znalazłam się pod wagonem za kołami, które miały nas osłonić. Tata położył się na podkładach i mnie kazał zrobić to samo. Ja jednak tylko ukucnęłam, zasłaniając swoją twarz ikoną Matki Bożej. Pomimo osłony kół, tata został trafiony odłamkiem zrzuconej bomby, a ikona metalowa została pocięta i powyginana odłamkami, a ja zostałam uratowana przed zmasakrowaniem twarzy.

Kiedy samoloty odleciały po dokonanych nalocie, pracownicy wyciągnęli mojego tatę spod wagonu i przenieśli go do naszego wagonu. Ja z nianią przewiązałyśmy apaszką rękę taty, aby zatamować krew.

Następnie w szoku uciekałam przez łąkę, aż zatrzymałam się w ziemnej lepiance, gdzie siedziałam do zmierzchu. Kiedy tam się znalazłam, zaczęłam siusiać bez przerwy, mimo iż nic nie piłam. Kiedy zaczęło się robić ciemno, wyszłam z lepianki i zobaczyłam, że niania idzie w moim kierunku. Poszłyśmy do naszego wagonu, ale moich rodziców tam nie było. Byli oni w innym wagonie.

Stryjek Cyprian, który był zawiadowcą stacji w Pabianicach, przysłał parowóz po nasz pociąg. W drodze do Pabianic mój tata zmarł, a na drugi dzień został pochowany w Pabianicach. Śmierć taty była spowodowana odłamkiem bomby, który nie tylko zranił rękę, ale prawdopodobnie uszkodził jakiś organ wewnętrzny. Tata jak też inni ranni byli pozbawieni pomocy lekarskiej, ponieważ z miasta nie przyjechał ani lekarz ani też ksiądz.

O ile mnie pamięć nie myli, w dalszą drogę wyjechaliśmy 5 września. Był to pociąg towarowy z krytymi wagonami. W jednym wagonie, do którego załadowano nasz dobytek, jechaliśmy ja, mama i niania, w drugim stryjenka z córką oraz jej siostra z synem epileptykiem.

Podróż przebiegała spokojnie, nie było nalotów. Do Koluszek przyjechaliśmy tuż po bombardowaniu, widok był straszny. Leje po bombach, jeden koło drugiego, zerwane zostały szyny i rozjazdy. Tor, po którym jechaliśmy w stronę Warszawy ocalał. Niemcy nie niszczyli budynków stacyjnych, natomiast na większych stacjach tory i rozjazdy zamieniali w kłębowisko. Nie było również nalotów na torach łączących sąsiednie stacje kolejowe.

Kiedy jechaliśmy dalej, a maszyniści słyszeli warkot samolotów, wówczas zatrzymywali pociągi, a ludzie wyskakiwali z nich i chowali się w bujnie rosnącym łubinie. Była to prawdziwa udręka. Gdy staliśmy pod Skierniewicami, zawiadomiono nas (wieści były przekazywane z wagonu do wagonu), że pociąg będzie stał parę godzin, a może nawet do rana, przez całą noc. Wtedy postanowiłyśmy iść pieszo do Skierniewic.

Niania zapakowała do koca futro mojej mamy oraz zimowe palta i obuwie jej i moje i założyła sobie na plecy, robiąc tobół, a w rękę niósła jedzenie w małym węzółku. Weszliśmy na drogę, którą jechało nasze wojsko na chłopskich furmankach. Wyglądali na bardzo zmęczonych, niewyspanych, a był to dopiero piąty dzień wojny. Widok był przygnębiający.

Drugą stroną drogi szli uciekinierzy, idący nie wiadomo dokąd. My szliśmy tą drogą z nimi przez całą noc. Nad samym ranem, kiedy było jeszcze ciemno, nad drogą ukazały się czerwone światła, jakby lampiony. Nie było słychać samolotów ani wybuchów, nie były to też race. Żołnierze chcieli gdzieś uciekać, popędzając konie, a cywile byli przerażeni, jedni wpadali na drugich, przepychali się, zakotłowało się.

W tym zamęcie zgubiłyśmy naszą nianię.

Kiedy zaczęło się rozjaśniać, na drodze zapanował spokój. Wtedy weszliśmy z mamą na boczną dróżkę prowadzącą do pierwszego gospodarstwa, gdzie poprosiliśmy o chleb i mleko, za które zapłaciliśmy. Pożywiłyśmy się i poszłyśmy dalej, według wskazówek, że mamy iść w kierunku gdzie stały pociągi. Dotarłyśmy do pociągu osobowego, wsiadłyśmy do niego zajmując miejsca. Po niedługim czasie pociąg ten ruszył. Jechał dość szybko, minęliśmy Grodzisk i Pruszków, a zatrzymał się dopiero na dworcu Warszawa Zachodnia. Tam odnalazłyśmy nasz pociąg i stryjenkę z rodziną. Żeby nie narażać się na naloty, zeszyliśmy z peronu tunelem na pobliską łąkę. Było spokojnie. Pożywiłyśmy się rosołem z kury kupionej w pobliskim domku. Był to pierwszy gotowany posiłek od wyjazdu z Pabianic.

Oblężenie Warszawy

Kiedy zrobiło się ciemno, rozpoczął się ostrzał miasta. Bałyśmy się zostać w wagonie i znowu tunelem pod peronem przeszłyśmy na lewą stronę miasta. Ponieważ ostrzał artyleryjski wzrastał się, zapukaliśmy do kilkupiętrowej kamienicy. Był to dom żydowski. Na klatce schodowej siedzieli jego mieszkańcy, od góry do dołu. Zostaliśmy wpuszczeni do budynku, zrobiono nam miejsce na schodach. Spędziliśmy tam całą noc. O świcie opuściliśmy ten gościnny dom. Panowała cisza, a ulice były pokryte szkłem z potłuczonych witryn sklepowych i z okien budynków mieszkalnych. Wystawy sklepów pełne różnych towarów, przestały istnieć. Dobra te były na wyciągnięcie ręki, ale nie tknęliśmy niczego.

Dotarliśmy wreszcie na ulicę Świętojańską, gdzie pod numerem 5 na trzecim piętrze mieszkała siostra mojej mamy. Dozorca domu poznał moją mamę i dał nam klucze. W tej chwili naszym oczom ukazała się niania, która odnalazła się po jej zaginięciu pod Skierniewicami. Nie mieliśmy perspektyw na jakieś pożywienie, ponieważ w mieszkaniu cioci nie było żadnych zapasów żywności. Okazało się, że ciocia razem z córką i wnukami wyjechała na wakacje do Sobolewa. Mama zde-

cydowała się szukać jakiejś pomocy. Zwróciła się więc do proboszcza parafii Farnej Św. Jana Chrzyciciela (obecnie Katedra) i pomoc taką otrzymała, pewnie dlatego, że swoim wyglądem wzbudziła w nim współczucie. Jej usta były pokryte ropiejącą opryszczką, nie było na nich zdrowego miejsca i z trudem mówiła.

Proboszcz przekazał mamę siostram skrytkom przy ulicy Kanonia. Zakwaterowały nas w pokoju na pierwszym piętrze i powiedziały, że mają zapasy żywności i że nie będziemy głodne. Ponieważ proboszcz skierował do Sióstr jeszcze kilkadziesiąt osób, zapasy żywności zniknęły bardzo szybko i topniały w oczach.

Rano na śniadanie dostawaliśmy duży kubek kakao z mąką kartoflaną, podobnym do budyniu. Na obiad była coraz gorsza zupka (brakowało produktów) lub krupnik z ryżu, a wieczorem już nic. Młodzieży i dzieciom wieczorem, po ciemku, siostry przynosiły po dużym talerzu ryżu posypanego grubo cukrem.

Któregoś dnia żołnierze przytoczyli beczkę śledzi. Był to posiłek zaspakajający głód, lecz spowodował pragnienie, a brakowało już wody.

Wieczorem, gdy nie było już ostrzeliwań, mężczyźni przynosili wodę z Wisły, do gotowania i ewentualnego mycia. Byliśmy głodni i niedomyci.

W przedostatnim dniu oblężenia naloty trwały bez przerwy, od rana do wieczora. Zeszliśmy wszyscy na parter, także siostra stryjenki ze swoim synem szczęśliwie zeszła z nami, bo nigdy nie schodziła ze względu na częste u niego ataki epilepsji. Kolejne naloty słyhać było blisko nas. Pierwszą bombę zrzucono w pobliżu, drugą jeszcze bliżej, a trzecia, jak obliczyliśmy, miała spaść na nasz dom. I tak się stało. Bomba spadła na łącznik, który znajdował się między budynkami, niszcząc po połowie każdego z nich. W jednej ze zniszczonych części budynku zginął ksiądz, a w naszej części kobieta, która weszła do pokoju na parterze w przerwie pomiędzy drugą a trzecią bombą.

Wieczorem wyszliśmy ze zniszczonego domu, aby szukać schronienia na Rynku Starego Miasta. Wpuszczono nas do domu „Pod Bazyliżkiem”. Było tam pełno ludzi na klatce schodowej i cudem się tam zmieściliśmy. Otrzymałyśmy po talerzu rosółu z makaronem i kawałeczkami kury, ale zaznaczono, że musimy rano opuścić dom, ponieważ nie mają miejsca ani żywności. Rano wyszliśmy z tego domu na Rynek, zastanawiając się, gdzie pójdziemy. Stryjenka ze swoją córką oraz jej siostra z synem poszli na ulicę Bednarską z nadzieją, że zastaną tam swoją rodzinę. A my poszliśmy przed siebie, przy samych murach budynków. Bez przerwy świstały kule i tak doszliśmy do kościoła oo. kapucynów na ulicy Miodowej. Ponieważ ten ostrzał wzmagał się, ukryliśmy się w kaplicy kościoła. Znajdowało się tam już kilka osób. Zakonnicy wystawili ławki z wysokimi oparciami, tak że można było położyć się na nich. Przynieśli nam też osłodzoną herbatę. Pan Bóg czuwał nad nami.

W pewnym momencie w restaurację znajdującą się naprzeciwko kościoła trafił pocisk. Uszkodził wejście do restauracji i część budynku, a wtedy ludzie zaczęli zbierać się w celu zdobycia żywności. Z naszej kaplicy wybiegł młody człowiek i powrócił z kilkoma puszkami szynki konserwowej oraz puszkami różnych konserw. My dostaliśmy jedną dużą puszkę szynki oraz kilka małych puszek. Rozpoczęło się „wielkie żarcie”. W kaplicy spędziłyśmy noc. Rano obudziła nas cisza. Wyszłyśmy z kościoła i spotkałyśmy w pobliżu dwie Żydówki, które powiedziały nam, że prezydent Warszawy Stefan Starzyński poddał miasto z powodu braku wody i żywności. Mówiły jeszcze, że do Polski weszli Sowieci i idą z „pomocą” w głąb kraju. Do kaplicy już nie wróciliśmy i poszliśmy na Świętojańską. Na drugi dzień mama pojechała do Grodziska, a ja z nianią poszłyśmy na Dworzec Zachodni z nadzieją, że znajdziemy nasz wagon. Po drodze przyłączył się do nas mężczyzna w średnim wieku, kiedy dowiedział się gdzie i po co idziemy. Niedaleko dworca znajdowała się fabryka słodyczy „Plutos”, do której magazynów wdarli się mieszkańcy Ochoty, zabierając co się dało. Mężczyzna, który nam towarzyszył, przyłączył się do nich, wynosząc duże metalowe opakowanie z nieznaną zawartością oraz inne słodycze, jak chałwa, czekolada. Powiedział że to jest dla nas. Niania wtedy zapytała, kto to pudło zanieś na Świętojańską. Mężczyzna powiedział, że on nam pomoże. Gdy weszliśmy do tunelu dworcowego, zobaczyłyśmy leżące nasze materace, całe we krwi, co oznaczało, że żołnierze szukali w wagonach czegoś, co mogłoby służyć do położenia ich rannych kolegów.

Bez trudu dotarliśmy do wagonu, w którym powinny znajdować się pozostawione przez nas rzeczy. Jednak wagon był pusty, wyglądał jak posprzątany, jedynie na podłodze leżały zdjęcia wyrzucone z naszych pięknych, pokrytych welurem albumów. Zabraliśmy tylko część tych zdjęć, ponieważ reszta była podeptana żołnierskimi butami. Wracając na Świętojańską byliśmy wstrząśnięci chciwością mieszkańców Ochoty, którzy grabili wszystko, co się dało.

W Alejach Jerozolimskich napotkaliśmy wchodzących do Warszawy żołnierzy niemieckich. Przechodnie odwracali się do nich tyłem. Kiedy doszliśmy do Nowego Świata, ujrzeliśmy samochody ciężarowe wypełnione chlebem oraz żołnierzy niemieckich rozdających chleb przechodniom. Inni Niemcy fotografowali osoby wyciągające ręce po chleb, a potem te zdjęcia ukazywały się w gazetach wychodzących w Niemczech. My nie zdobywaliśmy tego chleba. Kiedy przyszliśmy na Świętojańską, towarzyszący nam mężczyzna wniósł na trzecie piętro to ciężkie pudło, które przyniósł z Ochoty. Po otwarciu okazało się, że w środku znajduje się skórka pomarańczowa w syropie.



Powrót do Grodziska

Po powrocie mamy dowiedziałyśmy się, że wynajęta pokój w Grodzisku i że tam wracamy. W ciągu dwóch dni spędzonych jeszcze w Warszawie, mama zrobiła najpotrzebniejsze zakupy dla nas i dla siebie. Pamiętam dokładnie, że do Grodziska przyjechałyśmy w sobotę. Wynajęty pokój znajdował się w mieszkaniu naszych dobrych znajomych przy ulicy Kilińskiego. Budynek sąsiedował z Zakładem Leczniczym Bojasińskich. Po drodze do mieszkania kupiłyśmy coś do jedzenia. Kiedy przyszyłyśmy na miejsce, niania zabrała się do gotowania zupy. Natomiast gospodyni szykowała obiad dla siebie i męża. Była zupa, marchewka z groszkiem, ziemniaki oraz mielone kotlety. Zapach tych kotletów spowodował u mnie skurcze żołądka, niania także z trudem przetykała ślinę. Była pewna, że zostaniemy tym obiadem poczęstowane. Ale nic z tego, bo gospodyni zabrała ten obiad do swojej jadalni i nawet do głowy jej nie przyszło, żeby nas wygłodzone choć tego pierwszego dnia poczęstować.

Niania tak zdenerwowała się jej zachowaniem, iż powiedziała do mamy, że nie powinniśmy tu zostawać i trzeba szukać nowego mieszkania, zwłaszcza, że czynsz też miał być wysoki.

Mama znalazła następne mieszkanie składające się z pokoju z przybudówką, w domu pani Zalewskiej, osoby starszej i zamożnej. Była ona właścicielką dużego domu przy ulicy Kościuszki oraz mniejszego od ulicy Kilińskiego, w którym miałyśmy zamieszkać. Na tej posesji był jeszcze trzeci domek. Od strony ulicy Kolejowej był ogród. W wynajętym pomieszczeniu była mała kuchnia i znajdowały się tam szafa, dwa łóżka, stół i dwa krzesła. Pani Helcman wyposażyła nas w pościel i białą pościelową. Później została ona teściową doktora Krupieńczyka. Byłyśmy zatem już jakoś urządzone. Moja nauczycielka niemieckiego z gimnazjum i liceum pani Hauptman była zaprzyjaźniona z mamą i pospieszyła nam z pomocą. Jej mąż był ważniejszym urzędnikiem w „Octówce” i zajmował mieszkanie służbowe w dużym budynku przy ulicy Poniatowskiego na terenie należącym do fabryki. Zaproponowała mi opiekę nad swoją córką. Miałam z nią przerabiać program szkolny, otrzymując za to wynagrodzenie. Zatrzymywała mnie też zawsze na obiedzie. Trwało to krótko, bo jej córka Ala nie chciała się uczyć ani grać na pianinie. Nie mogłam więc brać pieniędzy. Przestałam tam chodzić, co przyjąłam z ulgą, bo była bardzo mroźna zima, z temperaturą minus 40 stopni. Nie miałam ciepłego obuwia, więc bardzo marzłam. Nie zamarzyłyśmy tej zimy tylko dlatego, że pracownicy taty zapatrywali nas w węgiel ze swoich deputatów. Ogień palił się w kuchence przez cały czas i było ciepło. Państwo Hauptmanowie nie zapomnieli o mnie. Kiedy były ła-

panki nocne do pracy w Niemczech, zawsze wtedy przychodziła ich służąca Fredzia i zabierała mnie do nich na nocleg. Zastanawialiśmy się z mamą, skąd oni wiedzą, że będzie łapanka. Okazało się, że jeden pokój w ich mieszkaniu był zarekwirowany dla oficerów, a więc musieli wiedzieć, kiedy ten pokój będzie potrzebny dla nadzorujących różne akcje, w tym łapanki. Później pan Hauptman załatwił mi pracę w Spółdzielni Rolniczej „Rolnik” w Grodzisku Mazowieckim. Zaczęłam pracować, nie pamiętam od kiedy, ale prawdopodobnie od końca 1940 roku.



Pensja była niewielka, ale były bogate deputaty żywnościowe zaspokajające nasze potrzeby. Były to cukier, mąka, masło, jajka, węgiel oraz wódka, za którą na czarnym rynku wszystko można było kupić np. mięso, kury itp. Miałam też dobry „Ausweis” i państwo Hauptmanowie nie musieli mnie już chronić, zwłaszcza, że podpisali „Volkslistę”.



Na balkonie w biurze Rolnika, które mieściło się na rogu ul. Harcerskiej i ul. Niepodległości (obecnie 11 Listopada)



W 1941 r. ślub w kościele św. Anny i w powozie przed kościołem



We wrześniu 1941 roku wyszłam za mąż.

Ślub był skromny, przyjęcie weselne odbyło się w mieszkaniu mojej szwagierki przy ulicy Dworskiej 6. Nie mogłam zaprosić nikogo z rodziny. Poza mamą i nianią (która pomagała w kuchni) była tylko jedna moja przyjaciółka ze szkoły, Zosia Rudzińska z Milanówka. Zanim usiedliśmy do stołu zjawił się Mietek Kański, również kolega ze szkoły. Nie znał on Grodziska, poza drogą do liceum. Znalazł mnie jednak, co wzbudziło niepokój mojej szwagierki, która oświadczyła mojemu mężowi, że on nie może tu zostać. Prosiłam Zosię, żeby jakoś mu to przekazała, niby od siebie, że nie był tu zaproszony i żeby wracał do domu. Ja straciłam humor, byłam smutna i rozżalona. Później zrozumiałam, że na przyjęciu były obecne osoby związane z konspiracją, które mogły się obawiać osób obcych. Poza rodziną męża, byli jeszcze Alicja i Roman Wykuszowie, moja szwagierka i jej mąż Stefan Buksowicz, który był właścicielem majątku Urszulin. Roman Wykusz (o którym będę jeszcze wspominała dwukrotnie) oraz mój świeżo upieczony mąż byli członkami Armii Krajowej. Bali się dekonspiracji. Zastanowiło ich, w jaki sposób Mietek trafił na ulicę Dworską. Co do osoby Mietka nasze obawy okazały się niesłuszne. Kiedy wracał z Grodziska do Warszawy, został ujęty w łapance ulicznej, a za dwa dni był rozstrzelany na ulicy, w papierowym ubraniu i z zagipsowanymi ustami. Nazwisko jego znalazło się w obwieszczeniach naklejanych przez Niemców na słupach ulicznych w Warszawie.

Przez pewien czas po ślubie mieliśmy z mężem trudności w zdobyciu jakiegoś mieszkania, ale wkrótce moja szwagierka wyprowadziła się z domu przy ulicy Dwor-

skiej 6 na ulicę Piaskową do nowokupionej willi. Nam zostawiła swoje dotychczasowe mieszkanie. Było to trzypokojowe mieszkanie z łazienką, dom był otoczony drzewami, ulica cicha, daleka od miasta. Nie było tu widać Niemców. Oficerowie niemieccy byli zakwaterowani w zarekwirowanych domach prywatnych.

Na Dworskiej urodziły się nam w 1942 roku przedwcześnie bliźnięta. Nie był to dobry czas dla wcześniaków. Urodziło się dwóch chłopców. Jeden z nich Wojtuś Jerzy zmarł, kiedy miał dwa miesiące, a drugi Jerzy Wojtuś w wieku trzech miesięcy. Bardzo przeżyłam ich śmierć.

Trudno jest mi opisywać te dni, miesiące i lata okupacji pełne lęku i strachu, rozpaczy i beznadziei.

Chciałabym w swoich wspomnieniach wrócić do szczególnie ważnych nie tylko dla mnie, ale i dla mojego miasta wydarzeń.

Początek wojny tak straszliwy w skutkach dla mojej rodziny – śmierć taty 3 września 1939 roku – pozbawił mnie pewności siebie i odwagi. Stałam się tchórzem, żyjąc w ciągłym strachu, że zaraz wydarzy się coś złego. Nie nadawałam się do konspiracji, nie należałam do AK, nie miałam także okazji. Koleżanki i koledzy rozproszyli się, nie miałam z nimi kontaktów.

Opisuję więc tylko najważniejsze wydarzenia, które miały miejsce w Grodzisku. Pewnego ranka rozeszła się wiadomość, że w nocy Gestapo zabrało z domu dwóch Kierłańczyków (ojca i syna). Po wejściu do samochodu obaj rzucili się na gestapowców i zostali zastrzeleni. Ciała ich zostały wyrzucone na ulicę, po czym gestapowcy odjechali.

To wydarzenie wstrząsnęło mieszkańcami Grodziska i spowodowało, że bardziej znaczące osoby z dowództwa miejscowego oddziału AK nie nocowały w swoich domach, tylko u zaprzyjaźnionych rodzin.

Drugim wydarzeniem mrozącym krew w żyłach było zabicie grodziskiej Żydówki, która uciekła z warszawskiego getta, przez volksdeutscha Walha*. Spotkali się oni na ulicy Kościuszki. Mimo że prosiła o życie, bo spodziewa się dziecka, on ją po prostu zastrzelił. Otrzymał za to wydany przez dowództwo AK wyrok śmierci, który został wykonany przez oddział egzekucyjny. Pewnego dnia mój mąż powiedział, że ja z mamą musimy na kilka dni przenieść się do wujostwa do Brwinowa. Jednocześnie poprosił mamę, żeby przyjeżdżała rano do Grodziska ugotować obiad. Potem o godzinie 12.00 miała wracać do Brwinowa. Mama zgodziła się na to. Będąc w naszym mieszkaniu zajrzała przez dziurkę od klucza do zamkniętego pokoju i zobaczyła leżącą tam na stole broń. Była ciska i niktogo nie było widać. Trzeciego dnia mój mąż powiedział mamie, że już nie trzeba przyjeżdżać i że da nam sygnał, kiedy możemy wracać do domu. Dwa dni później wróciliśmy do domu i dowiedzieliśmy się, że Walha został zlikwidowany. Wtedy skojarzyliśmy, że w naszym mieszkaniu przebywały osoby z oddziału

* Kazimierz Walha, w okresie okupacji Alois Walhe, tłumacz w grodziskim Gestapo znany z aktów okrucieństwa wobec ludności cywilnej, zastrzelony przez członków komórki likwidacyjnej AK.

egzekucyjnego, oczekujące na odpowiedni moment do wykonania wyroku. Walha został pochowany na cmentarzu parafialnym.

Dopiero po wojnie od męża dowiedziałam się, że to on „rozpracowywał” Walhę i śledził każdy jego ruch. Ustalił m.in. że codziennie o godzinie czternastej Walha przyjeżdżał kolejką EKD z miasta, wysiadał na przystanku „Nadarzyńska” (obecnie Jordanowice), i nie szedł do domu tylko do kiosku przy przystanku. Tam po odczytaniu wyroku został zastrzelony.

Dowiedziałam się też, że nasz dom, według oceny miejscowego dowództwa AK, został uznany za najbardziej bezpieczny i dlatego oddział egzekucyjny był do nas skierowany.

Kolejnym wydarzeniem, które wstrząsnęło mną, a także przedwojenną społecznością Grodziska, była niespodziewana śmierć Alicji Wykusz. Zostawiła dwoje dzieci – pięcioletniego syna Marka i trzyletnią córkę, której imienia nie pamiętam. Teraz muszę cofnąć się do czasów przedwojennych, kiedy to w Grodzisku zjawiał się Roman Wykusz (około 1935-36 roku). Nosił on białą czapkę uniwersytecką i podawał się za studenta, można go było łatwo zauważyć. Poznał on Alicję Frejdllich i zaczął się koło niej kręcić. Ojciec Alicji, który był felczerem w przychodni kolejowej, żalił się mojemu tacie, że jest zrozpaczony tym, że Alicja przyjmuje chętnie umizgi nowego adoratora. Obawiał się, że jego zięciem może zostać człowiek „znikąd”, ponieważ nigdy nie mówił o swojej rodzinie, krewnych oraz gdzie i czy w ogóle studiuje i skąd przyjechał? Podobno miał kogoś znajomego w „Octówce”, kto pomógł mu w przyjęciu do pracy. Ponieważ Frejdllich bardzo kochał córkę, marzył o odpowiednim dla niej mężu, któremu można by zaufać. Jednak Alicja wyszła za mąż za Romana. Ojciec nie zaakceptował tego związku, a zięć po ślubie wprowadził się do jego domu, znajdującego się przy ulicy Kościuszki, prawie naprzeciwko obecnego Centrum Kultury – „domu z wieżyczką” (Willa Niespodzianka).

Ojciec Alicji z powodu nieustannej psychicznej udręki doznał wylewu krwi do mózgu i niedługo po tym zmarł.

Ta dygresja była w tym miejscu niezbędna.

Roman nie chronił żony, mimo jej próśb i oświadczenia, że jeśli zostanie aresztowana, to „wsypie” wszystko i wszystkich, nie czekając, aż zaczną wrywać jej paznokcie. Nie chronił też siatki konspiracyjnej i swoich towarzyszy walki. Doszło do tego, że Alicja nie chciała zostawać na noc w domu. Nie wiem, czy nocleg u państwa Jedwabnych był początkiem czy tragicznym końcem tej nocnej tułaczki.

Był styczeń 1944 roku. Pani Jedwabna podała do kolacji grzanekę z bimbrem. Kiedy Wykuszowie wrócili rano do domu, Alicja położyła się do łóżka, bo źle się czuła, a Roman wyszedł z domu. Niebawem przyszedł do domu jej brat Jerzy. Zdziwił się, że Alicja leży w łóżku, a ona poskarżyła się, że bardzo źle się czuje i źle widzi oraz że nocowali u Jedwabnych, gdzie piła grzanekę. Był na tyle zaawansowanym medykiem (wojna przerwała mu dokończenie studiów me-

dycznych), że już wiedział, że zatruta się skażonym spirytusem i zabrał ją natychmiast do szpitala. Lekarze robili co mogli, sprowadzili nawet profesora z Warszawy. Wysiłki ich poszły jednak na marne. Alicja najpierw straciła wzrok, a przed wieczorem zmarła.

Jak się okazało, bimber sprzedawany przez właściciela dużego piętrowego domu przy ulicy Montwiłła (jego nazwiska nie pamiętam), za targowiskiem, w stronę Starogo*, był skażony. Alicja, poczęstowana jako pierwsza, wypiła zawartą w tej grzance całą truciznę. Pozostałym osobom nic się nie stało. Tragedię tę spowodowało gadulstwo Romana o działaniach w konspiracji.

Na początku 1943 roku była głucha noc, gdy obudziło nas walenie do drzwi wejściowych. Mama otworzyła drzwi do mieszkania i wtedy usłyszała „polizei” i nazwisko męża. Mężczyźni weszli do pokoju, w którym był mąż i kazali mu się ubierać. Było ich dwóch, z karabinami. Nie było żadnej rewizji, ale jeden z nich sięgnął ręką pod stół w jadalni, myślał może, że jest tam ukryta jakaś broń. Niczego jednak nie znalazł. Zabrali więc męża i wyszli. Ubrałam się i po zakończeniu godziny policyjnej pobiegłam na Piaskową do szwagierki. Natychmiast pobiegłam do pani Jadwigi, której nazwiska nie pamiętam**. Była ona wysiedlona z poznańskiego i była tłumaczką w „Sicherheitspolizei” biegle mówiącą po niemiecku. Obiecała, że rozezna sprawę. Po powrocie z pracy powiedziała, że sprawa jest o tyle skomplikowana, iż pan P. (nie podaję jego nazwiska, bo być może żyją jeszcze jego bliscy), składający zeznania, żeby nie obciążać swoich kolegów podał nazwiska trzech osób nie związanych z jego sprawą (pani Wiśniewskiej, pana Jaworskiego oraz mojego męża). Osoby te w ogóle się nie znały. Pani Jadwiga robiła co mogła, aby nie zostali odesłani do innego więzienia. Pan Bóg nie opuszcza jednak człowieka w potrzebie. Siostra męża pojechała do Warszawy w jakichś interesach i po ich załatwieniu wstąpiła do swojej ciotki, siostry mojej teściowej, żeby powiedzieć, że jej siostrzeniec został aresztowany i w sprawę wplątane są trzy osoby, których nie można rozdzielić, ponieważ muszą być zwolnione razem, tak jak je razem aresztowano. Ku jej zdziwieniu ciotka oświadczyła, że może będzie mogła pomóc. Mieszkała ona w domu przy Chmielnej 26, w którym jej mąż miał sklep i pracownię jubilerską. Mieszkali na pierwszym piętrze. Ciotka powiedziała, że nad nimi mieszka kochanka Kutchery i chociaż on już nie żył, to byli inni gestapowcy przez nią przyjmowani. Miała ona opinię osoby pomagającej Polakom i ciotka postanowiła zwrócić się do niej o pomoc. Działanie tej pani spowodowało, że wszyscy troje zostali zwolnieni. Nie zgodziła się na żaden rewanż i przyjeżdża tylko dziesięć róż. Jednak po Powstaniu Warszawskim przyjechała do Grodziska na ul. Piaskową z prośbą o jakieś schronienie i została tam przyjęta.

* majątek Stare, dziś Adamowizna

** Jadwiga Chylińska-Wójtowicz, ps. Jasna. Pochodząca z Pomorza, w okresie okupacji na polecenie komendy Ośrodka AK „Osa” podjęła pracę sekretarki szefa niemieckiej policji bezpieczeństwa w Grodzisku Maz.

Zbliżam się do końca moich wspomnień z czasów okupacji. Jak już pisałam, nie miałam nic wspólnego z konspiracją. Kiedyś jednak stałam się jej uczestnikiem. Mój mąż poprosił, żeby zawieść na rowerze z ulicy Dworskiej do Urszulina teczkę wyładowaną bronią. Zgodziłam się na to. Musiałam jechać ulicą Nadarzyńską przez tory kolejki EKD, dalej przez Opypy, Książenice, a blisko Siestrzeni skręcić już do Urszulina. Był to szmat drogi. Jechałam bardzo ostrożnie. Ciężar bagażu umieszczonego na kierownicy roweru nie był rozłożony równomiernie, a rower przechylał się na stronę obciążoną. Było mi ciężko jechać. Dopiero gdy skręcałam na drogę prowadzącą do majątku, moje emocje opadły. Kiedy wracałam do Grodziska i czułam się już bezpiecznie, ogarnęła mnie wściekłość na siebie, że dałam się „wpuścić w maliny”, a także na męża, że naraził mnie na tak wielkie niebezpieczeństwo. Co bym zrobiła z tym kłopotliwym bagażem, gdyby rower przewrócił się? Po powrocie do domu nie zastałam ani męża, ani mamy. Kiedy mąż wrócił do domu, powiedziałam, co o nim myślę i przypuszczam, że wtedy właśnie zaczęły się pierwsze małżeńskie „ciche dni”. W czasie, kiedy pracowałam w „Rolniku” i miałam dobry „Ausweis”, moja szwagierka Janina Skowrońska-Buksowiczowa, poprosiła mnie o zawiezienie do Warszawy pod wskazany adres znacznej gotówki. Ponieważ wtedy byliśmy obie w bardzo dobrych stosunkach, nie chciałam odmówić jej przysługi, mimo że było to bardzo niebezpieczne. Wyjazd ten odbył się bez żadnych problemów. Po kilku tygodniach otrzymałam podobną propozycję i znowu nie odmówiłam. Tym razem nie było tak łatwo. Szłam ulicą (obecnie Solidarności) w stronę Woli. Nagle zobaczyłam, że ludzie zawracają, bo tam jest łapanka, zobaczyłam, że stoją tramwaje, jeden za drugim, a z wagonów byli wyciągani ludzie. Wpadłam w popłochu do najbliższej bramy. Weszłam na klatkę schodową w budynku i dzwoniłam do kolejnych mieszkań, ale nikt nie otworzył mi drzwi. Wróciłam do bramy, wyjrzałam na ulicę i zobaczyłam, że nie ma już niebezpieczeństwa. Żandarmi odjechali. Pod wskazanym adresem zostawiłam pieniądze. Wracając znalazłam się na Nowym Świecie. Z przyzwyczajenia gapiłam się na wystawy, na których nic ciekawego nie było. Miałam już wejść w Aleje Jerozolimskie, kiedy zobaczyłam eleganckiego mężczyznę trzymającego w ręku kapelusz oraz żandarma sprawdzającego jego dokumenty. Dalej w równych odstępach od siebie stali inni żandarmi legitymujący zatrzymanych ludzi. Weszłam w Aleje Jerozolimskie. Twarz miałam zwróconą w kierunku wystaw, szłam bardzo wolno. Byłam w strachu, bliska zemdlenia. Nogi były jak z waty, uginały się pod moim ciężarem. Nikt się mną nie zainteresował. Z wyglądu robiłam być może na nich wrażenie dobrze ubranej Niemki, z blond włosami. Przeszłam na drugą stronę ulicy, skręcałam w ulicę Bracką i dalej ulicą Nowogrodzką doszłam do kolejki EKD w samą porę, bo zaraz ruszyła.

Dopiero kiedy dojeżdżaliśmy do Grodziska, dochodziłam do równowagi, nie pulsowało mi w skroniach, nie drżałam wewnętrznie. Postanowiłam, że „nigdy więcej”. Jakoś poradzili sobie bez mojej pomocy. Myślę, że moje wspomnienia z czasów okupacji są bliskie sercom mieszkańców Grodziska, którzy czekali z utęsknieniem na zakończenie okrutnej wojny.

Polska Ludowa. Nowa okupacja.

Wojska sowieckie weszły do miasta 17 stycznia 1945 roku. O ile mnie pamięć nie myli, to dwa dni wcześniej został zbombardowany dawniejszy grodziski rynek (obecny plac Wolności). Znajdował się tam tłum cywilów. Nie było ani jednego żołnierza niemieckiego. Samoloty latały bardzo nisko, dlatego też lotnicy musieli widzieć, że ostrzeliwują ludność cywilną a nie wojsko. Byli zabici i ranni*. Kiedy zwycięska armia obdartusów przechodziła przez miasto, zaczęła się grabież, głównie zegarków i biżuterii. Najbardziej pożądanym łupem były „czasy”.

Mąż wynajął dla nas mieszkanie składające się z pokoju i kuchni na pierwszym piętrze w budynku przy ulicy Radońskiej, tuż przy stacji kolejki EKD, oraz zatrudnił się w biurze elektrowni w Pruszkowie, które znajdowało się przy ulicy Żwirki i Wigury. Wszyscy pracownicy musieli wypełniać ankietę personalną, w której m.in. było zapytanie o przynależność do AK. Mąż się nie ujawnił. Bardzo szybko dowiedzieliśmy się, że Roman Wykusz wstąpił do milicji. W maju zaczęłam pracę w Starostwie Powiatowym, gdzie zatrudniono mnie jako maszynistkę, mimo iż oświadczyłam, że nie umiem pisać na maszynie. Byłam wtedy w piątym miesiącu ciąży i nie miałam możliwości wyboru. Do szpitala grodziskiego poszłam 11 grudnia 1945 roku, ale dziecko przyszło na świat dopiero 11 stycznia 1946 roku. Poród był koszmarem. Rodziłam przez 26 godzin w straszliwych bólach. Nie krzyczałam, bo uważałam, że jest to poniżające, ale za to płakałam. Twarz i oczy były spuchnięte od płaczu. Kiedy zostałam zabrana do sali opatrunkowej na fotel ginekologiczny, mój syn Andrzej nareszcie się urodził.

Poród przyjmował dr Chodosowski (grodziska legenda), który żeby zważyć noworodka, musiał najpierw zreperować wagę, która po naprawie wskazała 5,5 kg. Po urodzeniu synka założono mi klamerki, które lekarz asystujący podawał nieumyętymi rękami. Widziałam to, ale krępowałam się zwrócić lekarzowi uwagę, ponieważ byłam otoczona jego troskliwą opieką. Trzeciego dnia po porodzie wystąpiła u mnie wysoka temperatura. Kazałam mężowi wezwać dorożkę i powiedziałam, że nie zostanę w szpitalu dłużej, bo tu umrę. W szpitalu dziecko było karmione przeze

* 16 stycznia 1945 r., w przeddzień wkroczenia do Grodziska Maz. Armii Czerwonej, lotnictwo sowieckie dokonało nalotu bombowego na miasto. W wyniku bombardowania śmierć na miejscu poniosło ok. 200 osób cywilnych.



Na spacerze z małym Andrzejkiem



Andrzej

mnie. Pokarm ten zaszkodził dziecku, bo było obsypane wrzodami. Siostra Luiza przychodziła wieczorami do domu i kąpała dziecko w ziołach, ale nic to nie pomagało. W końcu mama się zdenerwowała, uszyła woreczki płócienne, wypełniła je ugotowanym siemieniem i ciepłe przyłożyła do obu piersi dziecka. Efekt był natychmiastowy, skończyły się wrzody.

Ja przez cały czas leżałam w łóżku z temperaturą 40,7 stopni. Leczyła mnie lekarka-ginekolog, która po powstaniu znalazła się w Grodzisku. Dobra lekarka, ale uważała, iż mogę wyzdrowieć tylko po transfuzji krwi. Miałam grupę „0” Rh minus, ale nikt z osób przebadanych przez dr. Chodosowskiego zarówno z rodziny, jak i z pacjentów szpitala, a także różnych znajomych, nie miał krwi tej grupy. Doktor Galewski powiedział mężowi, że w szpitalu wojskowym w Warszawie, w którym on pracuje, jest stosowana penicylina. Ale moja lekarka obawiała się, że zastosowanie nowego leku w moim stanie może mi zaszkodzić. Brała jedynie pod uwagę transfuzję krwi.

A więc czekano. Po lekarstwach, które dostawałam, temperatura spadała o kilka kresek, ale zaraz potem dostawałam ataku febry i znów temperatura podnosiła się do 40,7 stopni. Leżałam jakby w letargu, nie reagując na otoczenie, nie obchodziło mnie, co dzieje się z dzieckiem. Nic do mnie nie docierało, nie modliłam się też. Było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie.

I wtedy niespodziewanie do mojego stryja przyjechała koleżanka, z którą znali się z Fordonu. Osiedliła się w Jeleniej Górze i stamtąd przyjechała do Grodziska. Celem

jej przyjazdu było odnalezienie śladów męża, który nie wrócił z Powstania Warszawskiego. Moja stryjenka powiedziała jej, że jestem bardzo chora, że może mi pomóc tylko transfuzja krwi. I wtedy stryjenkę olśniło, że Biśka, bo tak do niej mówili, jest „w moim typie” pod względem fizycznym. Obie byłyśmy blondynkami wysokiego wzrostu o podobnym kolorze oczu. Okazało się, że ma też taką samą grupę krwi co ja. Na drugi dzień w domu wykonano mi transfuzję krwi i kiedy się obudziłam, pani Biśki już nie było, ale w razie potrzeby była dostępna przez kilka następnych dni. Metoda okazała się skuteczna i wróciłam do zdrowia. Byłam pewna, że było to działanie Bożej Opatrzności. Byłam jeszcze bardzo słaba, co uniemożliwiało mi zajmowanie się dzieckiem. Kiedy wreszcie wróciłam do zdrowia, poszłam do pracy, gdzie zostałam mile przyjęta.

Z pracy byłam zadowolona, nie pisałam już na maszynie, ale pracowałam kolejno w różnych działach. Nabrałam doświadczenia i w końcu awansowałam na kierownika referatu organizacyjnego i współpracowałam bezpośrednio ze starostą. Nie był on osobą nadającą się na to stanowisko. Było mi go nawet żal, bo widziałam, że nie jest szczęśliwy na tym „stołku”, na którym go usadowili towarzysze partyjni. Zastanawiałam się też, jak on sobie radzi w zajmowanym mieszkaniu służbowym, składającym się z wielu pokoi na parterze i na piętrze. Był to budynek, w którym mieści się dziś Starostwo Powiatu Grodziskiego.

W Grodzisku, tak jak w całym kraju, atmosfera zaczęła się zagęszczać. Zaplanował terror. Akowcy i powstańcy jako wrogowie ludu zaczęli być prześladowani, aresztowani, a po sfingowanych procesach sądowych albo i bez nich rozstrzeliwani lub wywożeni do gułagów sowieckich.

Torturami wymuszano na niewinnych ludziach przyznawanie się do czynów nigdy niepopelnionych. Było gorzej niż za okupacji niemieckiej. Przedtem prześladowali nas nasi wrogowie, a teraz Polak torturował i zabijał swojego rodaka. Na ludzi padł blady strach. Większość miała legitymacje PPR. Zapanowała między ludźmi nieufność. Mielśmy z mężem grono znajomych składające się z siedmiu par małżeńskich i spotykaliśmy się na pogawędkach i prywatkach z tańcami. W Starostwie też mieliśmy grupę zaufanych osób i spędzaliśmy nieraz czas na skromnych przyjęciach. Pamiętam takie jedno spotkanie. Wydział Komunikacji miał w domu Jabłonowskich* wynajęte na swoje biuro mieszkanie na pierwszym piętrze. Zebraliśmy się tam, żeby pogadać, pośmiać się. Ktoś przyniósł butelkę niezłego wina. Na dworze było już szarawo, okna były otwarte. Kierownik tego wydziału (nazwiska jego nie pamiętam) porozlewał to wino do kieliszków i zaczęliśmy śpiewać na całe gardło: „Więc pijmy wino, szwoleżerowie, niech smutki zginą w rozbitym szkle, więc pijmy wino, nikt się nie dowie, że jest nam smutno, że jest nam źle”.

* kamienica stojąca u wylotu ul. 11 Listopada, w której na parterze znajduje się apteka.

Zrobiło się patriotycznie. Tego było nam potrzeba, jak świeżego powietrza w zaduchu partyjnego karierowiczostwa.

Mój mąż został wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa przy ulicy Traugutta^{*}. Postawiono mu zarzut, że nie przyznał się w ankiecie, że należał do AK. Kiedy zaprzeczał, powiedzieli mu, że Roman Wykusz podał jego nazwisko wśród swoich współpracowników. Konsekwencją tej denuncjacji, w naszym przypadku, było prawie 10-letnie prześladowanie mojego męża. W niedługim czasie od wstąpienia do milicji Roman Wykusz popełnił samobójstwo.

W latach 60. dwudziestego wieku powołana została Grodziska Spółdzielnia Mieszkaniowa^{**}. Miała ona rozwiązać potrzeby mieszkaniowe na terenie naszego miasta. Okres wyczekiwania na mieszkanie był jednak tak długi, że stawał się udręką dla tych, którzy zapisali się do Spółdzielni. Musieli oczekiwać na przydział nawet kilkanaście lat. Spółdzielczość mieszkaniowa nie rozwiązała problemu, bowiem służyła raczej partii, która z pominięciem kolejki lokowała swoich członków w oddawanych do użytku budynkach, a wybudowanie osiedla spółdzielczego na Szczęsnym spowodowało skierowanie osiedlowych ścieków do rzeczki Rokicianki, co zasmrodziło całą okolicę od Szczęsnego aż po Chrzanów na kilkadziesiąt lat.

Opieka zdrowotna w latach 30., a także w czasie okupacji, była sprawowana przez Kasy Chorych, ogólną oraz branżową kolejową. Mieszkańcy naszego miasta mieli bardzo dobrą opiekę całodobową, satysfakcjonującą wszystkich.

W latach 50. zostały zlikwidowane dobrze funkcjonujące Kasy Chorych, a powołano do życia ZOZ-y.

Ponieważ ZOZ-y powołano w każdym mieście, a jednocześnie objęto bezpłatną opieką zdrowotną mieszkańców wsi, spowodowało to obciążenie budżetu służby zdrowia kosztami przekraczającymi jego możliwości.

Nie sposób także nie opisać przeżycia, jakie zgotował pracownikom Starostwa Powiatowy Komendant Urzędu Bezpieczeństwa Brzeziński.

Pewnego czerwcowego dnia Ubowcy weszli do budynku Starostwa. Zamknęli wszystkie drzwi wejściowe, z sekretariatu wyrzucili sekretarkę i zamknęli się razem ze Starostami, będącymi w swoich gabinetach. Z opowiadania sekretarki wynikało, że chodziło im o tajne koperty. Pomyślała, że być może chodzi o wojnę albo mobilizację. Potem wyszedł jeden z nich i powiedział, że nikt nie może wyjść z budynku. Mnie udało się zadzwonić jeszcze do mamy, że wrócę do domu wieczorem albo rano i żeby się nie martwiła. Około godziny 15.00 przywieźli nam kiełbasę i bułki, miał to być nasz obiad. Późnym wieczorem dostaliśmy drugą porcję. Mniej więcej około godziny 23.00 wyprowadzili nas na zewnątrz budynku, gdzie czekały tak

^{*} ceglany piętrowy budynek przy ul. Traugutta 19, w którym po 1945 r. miał swoją siedzibę Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. W piwnicach domu otoczonego wysokim płotem więziono i przesłuchiowano z użyciem tortur osoby podejrzane o działalność antykomunistyczną.

^{**} Międzyzakładowa Spółdzielnia Mieszkaniowa – od 1961 r. Grodziska SM – została powołana w 1958 r.

zwane podwoły, czyli chłopskie furmanki. Były ustalone listy, kto wsiada i do której furmanki. Po wyczytaniu nazwisk wsiedliśmy do furmanek i ruszyliśmy w nieznaną. Nasza podwoła dojechała do Helenowa. Była to gmina należąca do naszego powiatu. Zatrzymaliśmy się przed sklepem. Kazali nam wejść do sklepu, w którym znajdowała się sklepowa, też uwięziona.

Okazało się, że będziemy robili remanent na artykuły, których ceny od następnego dnia miały zostać podwyższone. Był to cukier, cukierki, wyroby czekoladopodobne, kompoty, dzemy oraz wyroby ciastkarskie np. wafle, herbatniki itp. Pracowaliśmy przez całą noc. Rano nikt na nas nie czekał, nie było furmanek. Każdy we własnym zakresie musiał wrócić do domu. Ja wsiadłam do kolejki, która jechała do Milanówka. Następnie pieszo poszłam do Grodziska, a byłam już w czwartym miesiącu ciąży. Byłam wykończona. „Pasztet”, jaki zgotował nam Brzeziński, był pogwałceniem wszelkich praw obywatelskich.

W 1950 roku przeprowadziliśmy się na ulicę Dworską w Grodzisku, do domu Włodzimierza Markowskiego. Dom był duży. Na parterze były cztery pokoje z kuchnią, a na piętrze cztery pokoje. W domu tym zameldowane były tylko trzy osoby. Kiedy kwaterunek zajął jeden pokój dla rodziny z dziećmi, Markowscy byli przerażeni tym, co ich spotkało. Zaproponowali nam, aby przenieść się do ich domu, a nasze mieszkanie przy Radońskiej oddać rodzinie z kwaterunku.

Otrzymaliśmy z kwaterunku przydział na dwa pokoje. Mieszkaliśmy tam przez 20 lat. 10 listopada 1952 r. w Milanówku urodził się nam syn, Krzysztof. Tym razem przy porodzie nie było żadnych problemów ani komplikacji. Poszło jak z płatka.

Dzieci chowały się zdrowo, nie było z nimi większych kłopotów. Włodzimierz Markowski na piętrze miał pracownię, w której konstruował różną aparaturę m.in. radiową. Ponieważ drzwi do pracowni były zawsze otwarte, to mieszkańcy domu mogli bez oderwania się od swoich zajęć słuchać radia. Najpierw było radio Madryt, potem Waszyngton i „Bum Bum tu mówi Londyn”, a po utworzeniu polskiej sekcji Radio Wolna Europa z Monachium. Dzieci tego domu, dwie córki Markowskie i dwóch naszych synów, wychowywane były głównie na Radiu Wolna Europa.



Mały Krzysztof

Kiedy w szkole podstawowej nauczycielka zarządziła klasówkę na temat „Co naprawdę zawdzięczamy Związkowi Radzieckiemu?”, Andrzej napisał to, czego się dowiedział z Radia Wolna Europa. Nauczycielka z jego klasówką przyszła do drugiej siostry mojego męża Zofii Kaczorowskiej, która pracowała w Wydziale Oświaty, z pytaniem co ma z tym zrobić? Zofia wzięła kartkę do ręki i porwała mówiąc, że to jedyne, co trzeba z tym zrobić. Dodała, że „chyba nie pójdzie pani z donosem?”.

Na początku 1955 roku Brzeziński podczas kolejnego wezwania powiedział mojemu mężowi: „Zgnoimy Was, Waszą żonę i Wasze dzieci”. Uznałam wtedy, że sytuacja jest groźna. Przeniosłam się do pracy w Urzędzie Wojewódzkim w Warszawie w październiku jeszcze tego samego roku.

W czasie mojej pracy w Warszawie ukończyłam studia wyższe na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Jednocześnie budowałam dom w Grodzisku przy ulicy Szkolnej.



Budowa domu



W Warszawie pracowałam do 1981 roku, do przejścia na wcześniejszą emeryturę. Przez ostatnie lata pracowałam w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy. Nigdy nie należałam ani do partii, ani stronnictw satelickich, a mimo to odznaczona zostałam Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W czasie pracy w Urzędzie m.st. Warszawy przydzielono mi mieszkanie i talon na samochód. Zrezygnowałam z mieszkania, uzasadniając tym, że mam dom w Grodzisku. Talon na samochód przyjąłam.

Kiedy opowiedziałam w domu, że zrezygnowałam z mieszkania w Warszawie, wtedy mój mąż wysłał mnie do lustra, żebym zobaczyła jak wygląda „idiotka”, która nie chce przyjąć mieszkania w Warszawie, bo chce mieszkać w Grodzisku.

Dziesięć miesięcy po moim przejściu na emeryturę w czerwcu 1982 roku zmarł mój mąż.

W domu trwał remont. Postanowiłam tego dnia pojechać do klasztoru oo. franciszkanów do Niepokalanowa, aby kupić dla mojej wnuczki Kingi srebrny medalik z łańcuszkiem. W najbliższą niedzielę miała przystąpić do I Komunii Świętej. Wyposażona w przepustkę (był to stan wojenny) pojechałam do Żyrardowa, a następnie autobusem do Niepokalanowa. Wróciłam do domu po czterech godzinach. Weszłam do pokoju przez taras. Przerazona mama opowiedziała mi, jakie zdarzyło się nieszczęście. Mój mąż spadł ze schodów, z samej góry. Malarz nieprzytomny z przerażenia wezwał pogotowie ratunkowe i zawiadomił moją synową. Pogotowie zabrało męża i odjechało tuż przed moim powrotem. Mój syn Andrzej, zawiadomiony przez swoją żonę, jadąc do nas zobaczył pogotowie odjeżdżające sprzed domu i pojechał za karetką do szpitala przy ul. Banacha w Warszawie. Od lekarza pogotowia, który okazał się naszym znajomym, dowiedział się, że mąż przez całą drogę wołał słowa „odejdz, odejdz”.

Następnego dnia pojechalśmy rano do szpitala. Kiedy weszłam do pokoju, w którym leżał mój mąż, i powiedziałam „dzień dobry”, mąż rozpoznał mój głos, zaczął gwałtownie się poruszać i próbował coś mi przekazać, bełkocząc niewyraźnie.

Nigdy nie poznaliśmy przyczyny tego tragicznego wypadku, czy było to tylko nieumyślne potrącenie, czy też celowe silne popchnięcie, bo jak się później okazało polecony nam przez wspólnych znajomych malarz nie był sprawny psychicznie.

Coś przecież musiały znaczyć powtarzane w karetce przez męża słowa.

W lipcu 1985 roku zmarła moja mama. Była całkowicie zdrowa i w dobrym samopoczuciu, gdy pewnego ranka nie wstała i oświadczyła, że ma ochotę poleżeć. Kiedy powtarzało się to przez parę kolejnych dni zaniepokoiiliśmy się bardzo. Mówiłam do niej: „mamusiu, przecież jesteś zdrowa, nic cię nie boli, nie masz temperatury, masz dobry nastrój, ale wystąpią odleżyny i co wtedy?”

Ale mama była nieugięta. Leżała w łóżku 8 miesięcy. Oczywiście odleżyny powstały szybko. Początkowo mama wychodziła do łazienki, ale odleżyny rozszerzały się. Mama cierpiała w skutek otwartych ran, a ja patrząc na jej męki miałam poczucie kompletnej bezradności. Żadne lekarstwa, specyfiki przygotowywane przez farmaceutów, także rady znajomych, nie przynosiły pożądaných rezultatów. Miała 92 lata.

Śmierć mamy była dla mnie dramatem. Byliśmy przecież bardzo związane uczuciowo, była opatrnościowym „aniołem” w życiu moim i mojej rodziny.

Kiedy zostałam sama, nie przyjęłam propozycji pracy na 1/2 etatu w Warszawie, którą mi zaproponowano.

Ponieważ na osiedlu „Kopernik” zaczęto budować kościół, włączyłam się w prace pomocowe, a następnie zaproponowałam proboszczowi, że bezinteresownie poprowadzę kancelarię parafialną. Trwało to do 8 lutego 2000 roku. Na wniosek proboszcza ks. Adama Szczygielskiego zostałam odznaczona przez Prymasa Polski Kardynała Józefa Glempa srebrnym medalem „Zasłużony dla Kościoła i Ojczyzny”.

Moje wspomnienia dobiegają końca, ale chciałabym jeszcze poświęcić miejsce kilku osobom, które dla Grodziska są nie bez znaczenia.

Pan Wieczorkowski, nie wiem czy był profesjonalnym muzykiem, ale założył orkiestrę symfoniczną składającą się z kilkunastu osób. Organizował koncerty, w których brała udział żona mojego stryja, z pochodzenia Rumunka, artystka operowa (sopran) oraz jej koleżanka pani Nowicka (mezzosopran).



W kancelarii parafialnej w Grodzisku Maz. na ul. Orzeszkowej



Feliks Dzierżanowski



Szczepan Brozych



Włodzimierz Markowski

Pan profesor Feliks Dzierżanowski założył ognisko muzyczne, mające siedzibę w „Radogoszczy”. Był on niewysokiego wzrostu, pogodny i zawsze uśmiechnięty, z binoklami na nosie i w muszce zamiast krawata.

Pan Szczepan Brozych, pamiętam go bardzo dobrze i znałam bardzo dobrze.

Chodził zawsze z wielką torbą, z której wyglądały płótna i papiery, palety i składane sztalugi, może też składany stołek. Znałam go osobiście, z ramienia PPR-u był burmistrzem miasta. Niedługo „burmistrzował”, bo jego pasją było malarstwo. Zostawił po sobie mnóstwo akwareli, obrazów olejnych, a także innych dzieł, na których się nie znam. Była to postać ściśle związana z Grodziskiem.

Włodzimierz Markowski był synem Bolesława, właściciela firmy „Bemar” i Zakładów Odlewniczych zlokalizowanych przy ulicy Chrzanowskiej.

Włodek brał udział w Powstaniu Warszawskim i kiedy pierwszego czy też drugiego dnia powstania została zniszczona radiostacja „Błyskawica”, skonstruował on błyskawicznie nową radiostację o nazwie „Burza” mającą bezpośrednią łączność z Londynem i naprawił „Błyskawicę”. Obydwie te radiostacje znajdują się obecnie w Muzeum Powstania Warszawskiego. Za tę „akcję” otrzymał on Krzyż Walecznych. Jako wielokrotny Mistrz Polski w wyścigach motocyklowych i samochodowych brał także udział w wyścigach za granicą, w tym w rajdzie Monte Carlo.

Kończąc moje wspomnienia, proszę czytelników o ich życzliwe przyjęcie. Pragnę także zachęcić, aby nigdy nie rezygnować z podejmowania wyzwań, gdyż z Bożą pomocą niemożliwe staje się możliwe. W moim przypadku, pomimo ograniczeń (wiek, wzrok), przy pomocy wspaniałych i życzliwych ludzi, udało mi się osiągnąć cel i w ciągu siedmiu tygodni napisać książkę, aby odchodząc z tego świata pozostawić po sobie ślad – smugę cienia.